

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**François Voltaire**

# **Prostaczek**

**Historia prawdziwa  
znaleziona w papierach ojca  
Quesnela  
(1767)**

Tower Press 2000  
Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## I

### JAK PRZEOR KLASZTORU NAJŚWIĘTSZEJ PANNY Z GÓRY I JEGO SIOSTRA SPOTKALI HURONA<sup>1</sup>

Pewnego dnia święty Dunstan, Irlandczyk z pochodzenia a święty z zawodu, wyruszył z Irlandii na małej górcie i płynąc ku wybrzeżom Francji, przybył z pomocą tego wehikułu do zatoki Saint-Malo. Znalazłszy się na brzegu, pobłogosławił górę, która skłoniła mu się uniżenie i wróciła do Irlandii tą samą drogą.

Dunstan założył w tych stronach klasztor i dał mu nazwę Góry, którą to nazwę nosi dziś jeszcze, jak każdemu wiadomo.

W roku 1679, 15 lipca, wieczorem, ksiądz de Kerkabon, przeor Najświętszej Panny z Góry, przechadzał się nad morzem z panną de Kerkabon, swoją siostrą, oddychając świeżym powietrzem. Przeor, już nieco w wieku, był to zacny kapłan zażywający miłości u sąsiadów, jak wprzódy zażywał jej u sąsiadek. Wielkie poważanie zjednało mu w okolicy zwłaszcza to, że był w całej prowincji jedyną duchowną osobą, której po wieczerzy nie trzeba było odnosić do łóżka.

Dość był biegły w teologii; kiedy zaś znużył się świętym Augustynem, szukał wytchnienia u Rabelais'go; toteż wszyscy go chwalili.

Panna de Kerkabon, dotąd, mimo szczerzej ochoty, niezamężna, wyglądała w czterdziestej piątej wiosnie wcale świeżo. Z natury zacna i tkliwa, lubiła wygodne życie i była nabożna.

Spoglądając na morze przeor rzekł:

– Ach tak, w tym właśnie miejscu wsiadł na okręt biedny nasz brat wraz z drogą bratową, panią de Kerkabon, swoją żoną. Było to w roku 1669; fregata zwała się „Jaskółka”; jechał zaciągnąć się do wojska w Kanadzie. Gdyby nie to, że go zabito, mielibyśmy nadzieję ujrzenia go jeszcze.

– Czy wierzysz – rzekła panna de Kerkabon – że bratową zjedli Irokezi, jak nam doniesiono?

– Oczywiście: gdyby jej nie zjedli, byłaby wróciła... Będę ją opłakiwał całe życie... Była to urocza kobieta; brat zaś, przy swoich talentach, byłby zrobił wielką karierę.

Tak roztkliwiając się, ujrzeli niewielki okręt wpływający w zatokę: byli to Anglicy, którzy wieźli na sprzedaż płody swego kraju. Wysiedli na ląd, nie zwracając uwagi na przeora ani na jego siostrę, bardzo dotkniętą tym brakiem względów.

Zgoła inaczej zachował się młody człowiek bardzo zręcznej postaci, który skoczył jednym susem przez głowy towarzyszy i znalazł się tuż na wprost panienki. Skinął jej głową, nie będąc biegły w ceremoniale ukłonów. Fizjonomia jego oraz strój zwróciły uwagę przeora i jego siostry. Miał gołą głowę i gołe łydki, na nogach lekkie sandały, długie włosy zaplecione w warkocze; obcisły kaftan uwydatniał gibką kibić; wyraz twarzy był dziarski i łagodny zarazem. W jednej ręce miał buteleczkę wódki barbadyjskiej, w drugiej sakwę, a w niej kubek i parę wybornych

---

<sup>1</sup> Z powodu swych żartów na temat religii *Prostaczek* stał się przedmiotem pościgu władz; całe jedno wydanie skonfiskowano, co przyczyniło się jedynie do powodzenia książki; z 3 funtów cena jej podniosła się na 24 funty.

Pasquier Quesnel (1634–1719), którego Wolter czyni autorem swej książki, był to uczony jansenista, którego pisma papież potępił w słynnej bulli *Unigenitus* i który musiał się chronić przed prześladowaniem do Belgii i Holandii.

sucharów. Mówił po francusku dość zrozumiale. Poczęstował wódką pannę de Kerkabon i przeora, napił się z nimi, dał im golnąć raz jeszcze, wszystko z taką naturalnością i prostotą, że oboje byli zachwyceni. Ofiarowali mu swoje usługi, pytając, kim jest i dokąd się udaje. Odparł, że sam nie wie; jest z natury ciekawy, chciał po prostu obejrzeć wybrzeża Francji, dokonawszy zaś tego, wraca.

Przeor, wnosząc z akcentu, że nie jest Anglikiem, pozwolił sobie spytać młodzieńca, z jakiego kraju pochodzi.

– Jestem Huron – odparł.

Panna de Kerkabon, zdumiona i zachwycona uprzejmością Hurona, zaprosiła go na wieczerzę. Nie dał się prosić, za czym wszyscy troje ruszyli ku opactwu.

Pulchna i przysadzista panienka przyglądała się chłopcu małymi oczkami i mówiła do brata:

– Co za płeć u tego chłopca: krew z mlekiem!... Cóż za piękna cera jak na Hurona!

– Tak, tak – odpowiadał przeor.

Zasypywała wędrowca pytaniami, on zaś odpowiadał na wszystko nader bystro.

Wieść o pobycie Hurona na plebanii rozeszła się niebawem. Śmietanka z całej parafii ściągnęła tam na wieczerzę. Przybył ksiądz de Saint-Yves z siostrą, ładną i doskonale ułożoną młodą Bretonką; przybyli delegat, poborca, wszyscy z żonami. Posadzono cudzoziemca między panną de Kerkabon a panną de Saint-Yves. Wszyscy patrzyli nań z podziwem, wszyscy naraz zasypywali go pytaniami; Huron nie przejmował się tym, zdawałoby się, że wziął sobie za zasadę dewizę milorda Bolingbroke: *Nihil admirari*<sup>2</sup>. W końcu, zmęczony tym zgiełkiem, odezwał się łagodnie, ale stanowczo:

– Moi państwo, w moim kraju jest zwyczaj mówić kolejno: w jaki sposób mam odpowiadać, kiedy niepodobna mi zrozumieć?

Rozsądek zawsze przywodzi ludzi na chwilę do zastanowienia: zapanowała wielka cisza. Pan delegat, który stale czepiał się cudzoziemców, skoro ich zdybał w jakim domu, i który był największym pytaczem w okolicy, rzekł, otwierając gębę na pół łokcia:

– Czy wolno mi spytać o pańskie nazwisko?

– Zwano mnie zawsze Prostaczkiem – odparł – a potwierdzono mi to imię w Anglii, ponieważ mówię po prostu, co myślę, tak jak robię wszystko, co chcę.

– W jaki sposób, urodziwszy się Huronem, mógł pan przybyć do Anglii?

– Zawieziono mnie tam: dostałem się raz w bitwie do niewoli po dość uporczywej obronie; Anglicy, którzy cenią dzielność, ponieważ sami są dzielni i ponieważ są równie zacni ludzie jak my, oświadczyli mi, iż mogę albo wrócić do rodziny, albo jechać do Anglii; wybrałem to drugie, ponieważ namiętnie lubię podróżować.

– Ależ, panie – rzekł delegat z namaszczeniem – w jaki sposób mogłeś opuścić ojca, matkę?...

– Nie znałem nigdy ojca ani matki – odparł cudzoziemiec.

Towarzystwo rozczuliło się, wszyscy powtarzali:

– Ani ojca, ani matki!

– Zastąpimy mu ich – rzekła gospodyni domu do brata przeora. – Ten pan Huron jest tak sympatyczny!...

Huron podziękował jej w słowach pełnych szlachetności i dumy, dając do zrozumienia, że nie trzeba mu niczego.

– Uważam, mości Prostaczku – rzekł poważny delegat – że pan mówi po francusku lepiej, niż przystało na Hurona.

---

<sup>2</sup> *Nihil admirari* (tac.) – Niczemu się nie dziwić.

– Francuz pewien, któregośmy, jeszcze za mego dzieciństwa, wzięli do niewoli i dla którego powziąłem serdeczną przyjaźń, nauczył mnie swego języka: uczę się bardzo szybko, gdy chcę się czegoś nauczyć... Przybywszy do Plymouth, spotkałem jednego z owych zbiegów, których nazywacie, nie wiem czemu, „hugonotami”; dzięki niemu uczyniłem dalsze postępy w znajomości waszego języka; z chwilą zaś gdy mogłem się wyrażać zrozumiale, przybyłem zobaczyć wasz kraj. Francuzi dosyć mi się podobają... o ile nie zadają za wiele pytań.

Mimo tej delikatnej przestrogi ksiądz de Saint-Yves zapytał, który język podoba mu się bardziej: huroński, angielski czy francuski.

– Oczywiście huroński – odparł Prostaczek.

– Czy podobna? – wykrzyknęła panna de Kerkabon. – Zawsze sądziłam, że francuski język jest najpiękniejszy ze wszystkich po dolnobretońskim.

Dopieroż zaczęto, na wypródkę, zasypywać Prostaczka pytaniami: jak się mówi po hurońsku „tytoń”; odpowiadał *taya*: jak się mówi „jeść”; odpowiadał *essenten*. Panna de Kerkabon pragnęła koniecznie wiedzieć, jak się mówi „kochać”; odpowiedział *trovander*<sup>3</sup> – i dowodził, nie bez pozorów słuszności, że te słowa w niczym nie ustępują francuskim lub angielskim. *Trovander* wydało się wszystkim gościom nader wdzięczne.

Przeor miał w bibliotece gramatykę hurońską, którą mu dał w upominku wielebny Sagard-Theodat, słynny misjonarz; wstał, aby zajrzeć do niej. Wrócił zdyszany z rozczulenia i radości: sprawdził, że Prostaczek jest prawdziwym Huronem. Wszczęła się dysputa o różnorodności języków; wszyscy się zgodzili, iż gdyby nie przygoda z wieżą Babel, cała ziemia mówiłaby po francusku.

Lubiący pytania delegat, który dotąd żywił lekką nieufność do przybysza, powziął dlań głęboki szacunek: odzywał się doń grzeczniej niż wprzódy, na czym Prostaczek się nie poznał.

Panna de Saint-Yves bardzo była ciekawa, jak się objawia miłość w kraju Huronów.

– Pełniąc zacne uczynki – odparł – aby się przypodobać osobom pokrewnym duchem.

Wszyscy biesiadnicy przyklasnęli ze zdumieniem. Panna de Saint-Yves zapłoniła się i była bardzo rada. Panna de Kerkabon zaczerwieniła się również, ale nie była tak rada; czuła się nieco dotknięta, że ta dworność była nie dla niej; ale była tak poczciwa z natury, iż sympatia jej dla Hurona nie osłabła. Spytała go łaskawie, ile miał kochanek w Huronii.

– Tylko jedną – rzekł Prostaczek – była nią panna Abakaba, serdeczna przyjaciółka mojej drogiej karmicielki: trzcina nie jest prostsza, gronostaj bielszy, owieczki bardziej łagodne, orły dumniejsze, a jelenie lżejsze, niż była Abakaba. Ścigała raz zające w okolicy, blisko pięćdziesiąt mil od naszego domostwa; pewien źle wychowany Algonkin, mieszkający o sto mil dalej, zabrał jej zającą; dowiedziałem się o tym, pobiegłem, powaliłem Algonkina maczugą i przywlokłem go, ze spętanymi rękami i nogami, do stóp ukochanej. Krewni Abakaby chcieli go zjeść; ale ja nigdy nie smakowałem w takich biesiadach; wróciłem mu wolność, czym pozyskałem sobie jego przyjaźń. Abakaba była tak wzruszona moim postępkim, że przelożyła mnie nad wszystkich zalotników. Kochałaby mnie jeszcze, gdyby nie to, że zjadł ją niedźwiedź. Skarałem niedźwiedzia; długo nosiłem jego skórę; ale to mnie nie pocieszyło.

Słyszając to panna de Saint-Yves uczuła sekretną przyjemność, że Prostaczek miał tylko jedną kochankę i że Abakaby już nie ma, ale nie zdawała sobie sprawy z przyczyn swego zadowolenia. Cały stół patrzył na Prostaczka; chwalono go wielce, że nie pozwolił towarzyszom zjeść Algonkina.

Okrutny delegat, który nie mógł powściągnąć szafu pytań, zagadnął wreszcie Hurona, jaką religię wyznaje: anglikańską, gallikańską czy hugonocką.

---

<sup>3</sup> Wszystkie te słowa są w istocie hurońskie (przyp. autora).

– Moją – odparł – tak jak wy swoją.

– Och! och! – wykrzyknęła dobra Kerkabońcia – ci niegodziwi Anglicy nie pomyśleli nawet o tym, żeby go ochrzcić!

– Bożeż ty mój! – mówiła panna de Saint-Yves – jak to być może, aby Huroni nie byli katolikami? Czy wielebni ojcowie jezuici nie nawrócili ich?

Prostaczek zapewnił, że w jego ojczyźnie nie nawraca się nikogo; że nigdy prawdziwy Huron nie zmienił przekonań i że nawet nie ma w ich języku wyrazu, który by oznaczał „niestałość”. Ostatnie słowa nadzwyczaj spodobały się pannie de Saint-Yves.

– Ochrcimy go! ochrcimy go! – mówiła Kerkabońcia do przeora.

– Tobie, bracie, przypadnie ten zaszczyt; ja chcę koniecznie być chrzestną matką, ksiądz de Saint-Yves będzie go trzymał do chrztu: wspaniała ceremonia! W całej Bretanii będą mówili o tym. Cóż to za honor dla nas!

Liczna kompania zawtórowała gospodyni; goście krzyczeli:

– Ochrcimy go!

Prostaczek odparł, że w Anglii wolno ludziom żyć wedle ich ochoty; oświadczył, że propozycja wcale mu nie przypada do smaku i że prawo Huronów warte jest co najmniej tyleż co bretońskie; dodał wreszcie, że odjeżdża nazajutrz. Dokończono jego butelczyny z wódką barbadyjską i każdy udał się na spoczynek.

## II

### JAK HURON IMIENIEM PROSTACZEK DOSZEDŁ DO RODZINY

Wedle swego zwyczaju Prostaczek obudził się ze słońcem, z pianiem koguta, którego w Anglii i Huronii nazywają „trąbą dnia”. Nie był w tym podobny do wykwintnisiów, którzy barłóżą się w łóżku, aż słońce dokona połowy swego obrotu, którzy nie mogą ani wstać, ani spać, tracą mnóstwo godzin w stanie pośrednim między życiem a śmiercią i skarżą się jeszcze, że życie jest zbyt krótkie.

Zrobił już ze dwie lub trzy mile, zabił z trzydzieści sztuk zwierzyny kulą, po czym wracając zastał przeora Najświętszej Panny z Góry i jego zasnę siostrzyczkę przechadzających się w szlafmycach po ogrodzie. Pokazał im zdobycz i dobywając spod koszuli mały talizman, który zawsze nosił na szyi, ofiarował im go w odpłatę dobrego przyjęcia.

– To mój najdroższy skarb – dodał – upewniono mnie, że będę zawsze szczęśliwy, póki będę nosił ten figielek na sobie; daję go wam, iżbyście byli zawsze szczęśliwi.

Przeor i pannica uśmiechnęli się z rozczuleniem z naiwności Prostaczka: dar ten stanowiły dwa dość lichy odrobione portreciki, związane zatłuszczonym rzemykiem.

Panna de Kerkabon spytała, czy w Huronii są malarze.

– Nie – odparł – osobliwość tę mam od swojej mamki. Mąż jej wziął to łupem, ograbiwszy paru Francuzów z Kanady, którzy toczyli z nami wojnę... To wszystko, co mi wiadomo.

Przeor przyglądał się bacznie portretom; zbladł, ręce drżały mu ze wzruszenia.

– Najświętsza Panno z Góry! – wykrzyknął – toć to twarz mego brata i jego żony!

Siostra, przyjrawszy się z równym wzruszeniem, orzekła to samo. Ogarnęło ich zdumienie, radość zmieszana z bólem; roztkliwili się, płakali; serce im biło, wydawali krzyki, wydzierali sobie portrety; brali je i oddawali je sobie dwadzieścia razy na sekundę; pożerali oczami portrety i Hurona; pytali go bezładnie, gdzie, kiedy i jak te portrety dostały się do rąk jego mamki: liczyli czas od wyjazdu kapitana; przypominali sobie, iż mieli wiadomość, że dotarł do ziemi Huronów i że od tej pory wszelki słych o nim zginął.

Prostaczek powiedział im, że nie znał ojca ani matki. Przeor, człowiek wcale bystry, zauważył, że Prostaczek ma nieco zarostu: wiedział, że Huroni go nie mają.

– Ma włosy na brodzie, jest tedy synem Europejczyka... Brat ani jego żona nie dali znaku życia od czasu wyprawy na Huronów w roku 1669... Bratanek mój musiał być wówczas dzieckiem przy piersi. Mamka-Huronka ocaliła mu życie i zastąpiła matkę.

Wreszcie, po stu pytaniach i odpowiedziach – przeor i jego siostra wywnioskowali, że Huron jest ich rodzonym bratankiem. Uściskali go lejąc łzy; Prostaczek zaś śmiał się, nie mogąc sobie wyobrazić, aby Huron mógł być bratankiem przeora z Dolnej Bretanii.

Towarzystwo zjawilo się niebawem. Pan de Saint-Yves, który był wielkim fizjonomistą, porównał oba portrety z twarzą Prostaczka, po czym wywiódł bystro, że ma oczy matki, czoło i nos nieboszczyka kapitana, policzki zaś przypominają coś z obojga.

Panna de Saint-Yves, która nigdy nie widziała ani jego ojca, ani jego matki, upewniała, że Prostaczek zupełnie jest do nich podobny. Wszyscy podziwiali Opatrzność oraz cudowne związki



wydarzeń. Słowem, byli tak przeświadczeni o pochodzeniu Prostaczka, że on sam zgodził się być bratankiem przeora, oświadczając, że nie ma nic przeciw temu pokrewieństwu.

Zgromadzenie udało się podziękować Bogu do kościoła Najświętszej Panny z Góry, gdy Huron z obojętną miną zabawiał się w domu butelką.

Anglicy, którzy go przywieźli, gotowi rozwinąć żagiel, przyszedli mu oznajmić, że czas w drogę.

– Widocznie – odparł – nie odnaleźliście tu stryjów i ciotek... Zostaję... Wracajcie do Plymouth: daję wam wszystkie swoje rzeczy; nie trzeba mi już niczego, skoro jestem bratankiem przeora.

Anglicy odpłynęli, niewiele troszcząc się o Prostaczka i o jego odnalezionych bretońskich krewniaków.

Skoro stryj i ciotka, i cała kompania odśpiewali *Te Deum*; skoro delegat jeszcze nadręczył Prostaczka pytaniami; skoro wyczerpano wszystko, na co może się zdobyć zdumienie, radość, roztkliwienie, przeor z Góry i ksiądz de Saint-Yves uchwalili co rychlej ochrzcić Prostaczka. Ale z dwudziestoletnim hurońskim dryblasem była cokolwiek inna sprawa niż z niemowlęciem, które się odradza bez własnej świadomości. Trzeba go było oświecić, co zdawało się niełatwe, gdyż ksiądz de Saint-Yves był przekonany, że człowiekowi, który nie urodził się we Francji, brak jest wszelkiego oleju w głowie.

Przeor zwrócił uwagę obecnych, iż mimo że w istocie pan Prostaczek, jego bratanek, nie miał szczęścia urodzić się w Dolnej Bretanii, posiada on dowcip wcale bystry; ze wszystkich jego odpowiedzi można osądzić, że tak po ojcu, jak po matce natura obdarzyła go hojnie w tej mierze.

Spytano go najpierw, czy kiedy czytał jaką książkę. Odparł, że czytał Rabelais'go w przekładzie angielskim i parę urywków z Szekspira, które umie na pamięć; znalazł te książki u kapitana, który go wiozł z Ameryki do Plymouth, a bardzo mu trafiły do smaku. Delegat nie omieszkiał zadać mu paru pytań w kwestii tych książek.

– Przyznam się – odparł Prostaczek – że domyśliłem się tego i owego, reszty zaś nie rozumiałem zgoła.

Słyszając to ksiądz de Saint-Yves zauważył, że i on sam, i większość ludzi zawsze czyta w ten sposób.

– Czytałeś zapewne *Biblię* – spytał.

– Bynajmniej, księżę proboszczu; nie było jej wśród książek kapitana... nigdy nawet o niej nie słyszałem.

– Oto, jakie to ładaco ci Anglicy – wykrzyknęła panna de Kerkabon – więcej im warta sztuczka Szekspira, śliwkowy pudding i butelka rumu niż cały *Pięcioksiąg!* Toteż nie nawrócili nikogo w Ameryce... To ludzie przekłęci od Boga: tylko patrzeć, jak odbierzemy im Jamajkę i Wirginię.

Na razie sprowadzono z Saint-Malo najzdolniejszego krawca, aby ubrać Prostaczka. Towarzystwo rozstało się. Delegat powędrował ze swymi pytaniami gdzie indziej. Odchodząc, panna de Saint-Yves odwróciła się kilka razy, aby popatrzeć na Prostaczka, on zaś skłonił się jej niżej niż komukolwiek w życiu.

Przed rozstaniem delegat przedstawił panie de Saint-Yves swego syna, drągala, który świeżo opuścił kolegium; ale ledwie nań spojrziała, tak była zajęta dwornością Hurona.

### III

## JAK HURON IMIENIEM PROSTACZEK NAWRÓCIŁ SIĘ

Przeor czując się nieco w wieku i rozumiejąc, że Bóg zesłał mu bratanek na pociechę starości, ułożył sobie, że mógłby mu przekazać swój urząd, gdyby mu się udało ochrzcić go i skłonić do włożenia sukienki zakonnej.

Prostaczek miał wyborną pamięć. Wrodzona dolnobretońska krzepkość, zahartowana klimatem Kanady, dała głowie jego taką tęgość, że kiedy w nią było tłuc, zaledwie czuł cośkolwiek; co zaś wyryto wewnątrz, nie zacierało się nigdy. Nigdy niczego nie zapominał. Inteligencję miał żywą i jasną; ponieważ dziecięctwa jego nie przeładowano zbytecznymi bredniami, którymi dławiają je u nas, pojęcia wchodziły w jego głowę nie zaćmione niczym. Przeor postanowił wreszcie dać mu do czytania *Nowy Testament*. Prostaczek wchłonał go z przyjemnością; ponieważ jednak nie wiedział, gdzie i kiedy zdarzyły się wszystkie te przygody, nie wątpił, że teatrem wypadków była Dolna Bretania, i przysiągł, że obetnie nos Kaifaszowi i Piłatowi, o ile spotka kiedy tych hultajów.

Stryjaszek uradowany dobrymi skłonnościami chłopca oświecił go w krótkim przeciągu czasu; pochwalił jego zapał, ale pouczył go, że zapał ten jest spóźniony, ile że ludzie ci pomarli jakieś tysiąc sześćset dziewięćdziesiąt lat temu. Niebawem Prostaczek nauczył się prawie całej książki na pamięć. Zadawał czasem pytania, które wprawiały przeora w wielki kłopot. Często musiał się radzić księdza de Saint-Yves, który, nie wiedząc co odpowiedzieć, sprowadził jezuitę, iżby dokończył nawrócenia Hurona. Wreszcie łaska podziałała: Prostaczek przyrzekł zostać chrześcijaninem. Nie wątpił, że będzie trzeba zacząć od obrzezania.

– Nie widzę – mówił – w książce, którą mi dano, ani jednej osoby, która by nie była obrzezana; oczywiste jest tedy, że muszę uczynić ofiarę ze swego napletka; im prędzej, tym lepiej.

Nie namyślał się długo; posłał po chirurga i prosił o dokonanie zabiegu, mniemając, iż niezmiernie ucieszy tym faktem pannę de Kerkabon i całe towarzystwo. Frater, który nie robił jeszcze niczego podobnego, uwiadomił rodzinę, która podniosła krzyk. Pocziwa Kerkabońcia drżała, aby bratanek, chłopiec rezolutny i chybki do czynu, nie zrobił sobie tej operacji sam i bardzo niezręcznie i aby nie wynikły stąd smutne następstwa, którymi damy interesują się zawsze przez dobroć serca.

Przeor sprostował pojęcia Hurona: przedstawił mu, że obrzezanie wyszło już z mody, że chrzest jest o wiele łagodniejszy i bardziej zbawienny; że zakon łaski inny jest niż zakon surowości. Prostaczek, który miał wiele prawości i rozsądku, spierał się, ale uznał swój błąd (co w Europie jest między dysputantami dość rzadkie); wreszcie przyrzekł dać się ochrzcić, kiedy rozkażą.

Najpierw trzeba było wypowiedzieć się; to było najtrudniejsze. Prostaczek miał wciąż w kieszeni książkę, którą dostał od stryjaszka. Nie znalazł tam, aby bodaj jeden z apostołów się spowiadał, i to uczyniło go bardzo opornym. Przeor zamknął mu usta, pokazując w liście świętego Jakuba Młodszego słowa, które tyle krwi psują heretykom: „Wyznawajcie swoje

grzechy jedni drugim”. Huron zamilkł i wyspowiadał się franciszkaninowi. Kiedy skończył, wywłókł dobrego ojca z konfesjonału, zajął jego miejsce, jego zaś rzucił na kolana przed sobą:

– Nuże, przyjacielu, powiedziano jest: „Wyznawajcie swoje grzechy jedni drugim”; ja ci powiedziałem swoje, nie wyjdiesz stąd, póki mi nie opowiesz twoich.

To mówiąc gniótł go tego kolanem. Franciszkanin zaczął drzeć się na cały kościół. Zbiegli się ludzie i ujrzeli katechumena, jak dławił mnicha w imię świętego Jakuba Młodszego. Radość z ochrzczenia hurońsko-angielskiego Dolnobretończyka była tak wielka, że darowano mu te wybryki. Wielu nawet teologów było zdania, że spowiedź nie była potrzebna, skoro chrzest zastępuje wszystko.

Umówiono dzień z biskupem z Saint-Malo, który, można sobie wyobrazić, mile połączony nadzieją ochrzczenia Hurona, przybył we wspaniałym stroju, otoczony klerem. Panna de Saint-Yves, błogosławiąc Boga, włożyła najpiękniejszą suknię i posłała do Saint-Malo po fryzjerkę, aby godnie wystąpić na ceremonii. Pytański delegat przybył wraz z całą okolicą. Przystrojono wspaniale kościół, ale kiedy trzeba było Hurona zaprowadzić do zakrystii, okazało się, że go nie ma.

Stryj i ciotka zarządzili poszukiwania. Mniemano, że swoim zwyczajem poszedł na polowanie. Uczestnicy rozbiegli się po lasach i siołach: ani śladu Hurona.

Zaczęto się obawiać, czy nie wrócił do Anglii. Przypominano sobie, iż mawiał, że bardzo lubi ten kraj. Przeor i jego siostra byli przeświadczeni, że w krainie tej chrzest jest nieznan i drżeli o duszę bratanka. Biskup, stropiony, zabierał się do odwrotu. Przeor i ksiądz de Saint-Yves byli w rozpacz. Delegat wypytywał przechodniów ze zwykłą powagą. Panna de Kerkabon płakała; panna de Saint-Yves nie płakała, ale wydawała głębokie westchnienia świadczące o jej upodobaniu w sakramentach. Przechadzały się obie smutno wśród wierzby i trzciny okalających pobliską rzekę, kiedy ujrzęły w rzece dużą postać, dość białą, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Wydały głośny krzyk i odwróciły się. Ale niebawem ciekawość przemogła inne względy; obie panienki wśliznęły się między trzciny i upewniwszy się, że ich nikt nie widzi, starały się zobaczyć, co to takiego.

## IV

### CHRZEST PROSTACZKA

W tej chwili nadbiegli przeor i proboszcz: spytali Prostaczka, co tu robi.

– Do paralusza, panowie, czekam na chrzest: od godziny tkwię w wodzie po szyję. To się nie godzi, doprawdy, dać mi marznąć tak długo.

– Drogi bratanku – rzekł czule przeor – nie ma zwyczaju chrzcic w Dolnej Bretanii w ten sposób. Ubierz się i chodź z nami.

Słyszając to panna de Saint-Yves szepnęła do towarzyszki:

– Myśli pani, że on zaraz się ubierze?

Ale Huron rzekł:

– Tym razem nie omamicie mnie tak łatwo jak kiedyś. Pilnie studiowałem od owego czasu i jestem zupełnie pewny, że chrzci się tak a nie inaczej. Eunucha królowej Kandacji ochrzczono w strumieniu; niech mi pan pokaże, proszę, w książce, którą mi dałeś, aby ktoś inaczej brał się do rzeczy. Albo się wcale nie chrzczę, albo chrzczę się w rzece.

Daremnie tłumaczono mu, że zwyczaje się zmieniły: Prostaczek był uparty jak Bretończyk i Huron razem. Wracał wciąż do eunucha królowej Kandacji; mimo zaś że ciotka jego oraz panna de Saint-Yves, przyglądając mu się z wikliny, miały prawo powiedzieć, iż nie jemu przystało powoływać się na podobne indywidualium, nie uczyniły tego przez dyskrecję. Sam biskup przybył na odsiecz, co jest sukurs nie lada; ale nic nie wskórał. Huron spierał się z biskupem.

– Pokażcie mi – mówił – w książce, którą mam od stryja, jednego człowieka, który by się nie chrzczył w rzece, a zrobię wszystko, co wam się podoba.

Ciotka, zrozpaczona, przypomniała sobie, że za pierwszym razem, kiedy bratanek złożył ukłon towarzystwu, skłonił się przed panną de Saint-Yves głębiej niż przed innymi: nawet księdz biskupa nie pozdrowił tak serdecznie a z takim szacunkiem jak tę piękną pannę. Postanowiła tedy zwrócić się do niej: prosiła, aby wpływem swoim skłoniła Hurona do przyjęcia chrztu na sposób mieszkańców Bretanii. Nie powstało jej w głowie, aby bratanek mógł być chrześcijaninem, gdyby się uparł dostąpić chrztu w bieżącej wodzie.

Panna de Saint-Yves zarumieniła się z uciechy, jaką jej sprawiało owo doniosłe zlecenie; zbliżyła się skromnie do Prostaczka i ściskając mu dłoń w sposób wielce, zaiste, szlachetny, rzekła:

– Czy pan nic nie chce zrobić dla mnie?

Wymawiając te słowa to spuszczała oczy, to znów podnosiła je ze wzruszającym wdziękiem.

– Och, wszystko, co pani zechce, co pani rozkaże: chrzest z wody, ognia, krwi; nie ma rzeczy, której bym pani odmówił.

Panna de Saint-Yves mogła się chlubić, że dokonała w dwóch słowach tego, czego nie mogły zdziałać ani nalegania przeora, ani pytalstwo delegata, ani nawet wywody biskupa. Czowała swój triumf, ale nie czuła go jeszcze w całej pełni.

Rzecz odbyła się z całą przystojnością, przepychem i ozdobą. Stryj i ciotka ustąpili księdzu de Saint-Yves i jego siostrze zaszczytu trzymania Prostaczka do chrztu. Panna de Saint-Yves

promieniała z radości, że jest chrzestną matką. Nie wiedziała, jakie ciężary nakłada ten chlubny tytuł: przyjęła zaszczyt, nie znając jego oplakanych następstw.

Ponieważ nie istnieje ceremonia, której by nie towarzyszył wielki obiad, po wyjściu ze świątyni wszyscy znaleźli się u stołu. Miejscowi dowcipnisie mówili, że nie należy chrzczyć wina. Przeor powiadał, że wedle Salomona wino rozwesela serce człowieka. Ksiądz biskup dodał, iż patriarcha Juda miał uwiązać swego osiołka do winnej latorośli i zmoczyć płaszcz w soku winnym, i żałował, że nie może tego samego uczynić w Bretanii, której Bóg odmówił winnic. Każdy starał się spłodzić jakiś koncept na temat chrztu Prostaczka i jakiś komplement pod adresem chrzestnej matki. Delegat, wciąż pod znakiem pytajnika, spytał Hurona, czy będzie wierny przyrzeczeniom.

– Jakże miałbym nie być im wierny – odparł Huron – skorom je złożył w ręce panny de Saint-Yves?

Huron rozgrzał się: pił obficie za zdrowie chrzestnej matki.

– Gdybym otrzymał chrzest z ręki pani, czuję, że zimna woda, którą mi wiano na czub, byłaby mnie sparzyła.

Delegatowi wydało się to zbyt poetyczne, bo nie wiedział, jak dalece alegoria zwyczajna jest mieszkańcom Kanady. Natomiast chrzestna matka była bardzo rada.

Świeżo ochrzczoneму dano imię Herkules. Biskup z Saint-Malo dopytywał się pilnie, co to za patron, o którym nigdy nie słyszał. Jezuita, człek bardzo uczony, objaśnił, że to był święty, który dokonał dwunastu cudów; spełnił i trzynasty, wobec którego blednie tamtych dwanaście, ale o którym jezuita nie przystało mówić: obabił jednej nocy pięćdziesiąt dziewcząt. Jakiś żartowniś wspomniał ten cud z triumfem. Damy spuściły oczy i uznały z fizjonomii Prostaczka, że godny jest świętego, którego nosi imię.

## V

### PROSTACZEK ZAKOCHANY

Trzeba powiedzieć, że od czasu tego chrztu i tego obiadu panna de Saint-Yves gorąco pragnęła, aby ksiądz biskup przypuścił ją do uczestnictwa jeszcze w jakim sakramencie z panem Herkulesem Prostaczkiem. Jednakże, jako dobrze wychowana i skromna osoba, nie śmiała otwarcie sama przed sobą wyznać tych tkliwych uczuć; jeśli wyrwało się jej jakie spojrzenie, słowo, gest, myśli, spowijała je nieskończone uroczą zasłoną wstydu; była wraz czuła, ognista i pełna cnoty.

Skoro tylko biskup odjechał, Prostaczek i panna de Saint-Yves spotkali się, bez świadomości, że się szukają. Prostaczek oświadczył jej z miejsca, że kochają z całego serca i że piękna Abakaba, za którą szalał w ojczyźnie, nie umywała się do niej. Panienska odparła ze zwykłą skromnością, że trzeba mu co rychlej pomówić o tym z przeorem, swoim stryjem, oraz z ciotką; ona ze swej strony napisze o tym stówko dobremu bratu, księdzu de Saint-Yves, i ma nadzieję uzyskać powszechne zezwolenie.

Prostaczek odparł, że nie trzeba mu niczyjego zezwolenia; śmieszne mu się wydaje pytać innych o to, co ma robić; kiedy się dwie strony porozumiały, nic im po pośrednictwie kogoś trzeciego.

– Nie radzę się nikogo – rzekł – kiedy mam ochotę jeść, spać albo polować. Wiem, że w miłości niezgorsza to rzecz zgoda osoby, którą się kocha; ale ponieważ się nie kocham ani w stryju, ani w ciotce, nie o nich chodzi w tej sprawie. Ty także, wierzaj mi, pani, chciej się obejść bez księdza de Saint-Yves.

Można się domyślić, że piękna Bretonka rozwinęła całą subtelność swego umysłu na to, aby sprowadzić Hurona na drogę przestrzegania względów przystojności; pogniwała się nawet, ale rychło dała się ułagodzić. Słowem, nie wiadomo, jak by się skończyła ta rozmowa, gdyby o zmierzchu proboszcz nie zabrał siostry na plebanię. Prostaczek pożyczył dobrej nocy stryjowi i ciotce, zmęczonym nieco ceremonią i długim obiadem. Sam siedział do późna, składając hurońskie wiersze na cześć ukochanej: trzeba wiedzieć, że nie ma krainy, gdzie by miłość nie czyniła kochanka poetą.

Nazajutrz po śniadaniu stryj przemówił doń w te słowa w obecności panny de Kerkabon, która słuchała z rozczuleniem:

– Niebu niech będzie chwała, mój bratanku, za to, że masz zaszczyt być chrześcijaninem i Bretonem! Ale to nie wystarcza; ja jestem już w wieku; brat zostawił mi skrawek ziemi przynoszący bardzo niewiele... Mam dobre opactwo; jeśli zechcesz na początek, jak na to liczę, przyjąć święcenia diakona, przekażę ci swoje opactwo i będziesz żył sobie dostatnio, stawszy się wprzód pociechą mej starości.

Prostaczek odparł;

– Mój stryju, niech ci Bóg da wszystko najlepsze, żyj najdłużej, jak zdołasz. Nie wiem, co znaczą „święcenia” ani „przekazać opactwo”; ale na wszystko się godzę, byłem miał dla siebie pannę de Saint-Yves.

– Boże miłosierny, bratanku, co ty mi powiadasz? Czyżbyś rozkochał się w tej panience?

– Tak, stryju.

– Niestety, mój bratanku, niepodobna, abyś ją zaślubił.

– Bardzo podobna, stryju; nie tylko ścisnęła mnie za rękę przy rozstaniu, ale przyrzekła, że poprosi o moją rękę: żenię się z nią, rzecz postanowiona.

– To niemożliwe, powiadam ci: jest twoją chrzestną matką; to straszliwy grzech, aby chrzestna matka ścisnęła za rękę chrześniaka; nie wolno zaślubić swojej chrzestnej matki, prawa boskie i ludzkie sprzeciwiają się temu.

– Do paralusza, stryju, ty kpisz sobie ze mnie. Czemu by miało być wzbronione zaślubić chrzestną matkę, kiedy jest młoda i ładna? W książce, którą mi dałeś, nie widziałem nigdy, żeby to było co złego ożenić się z panną, która pomogła komuś do chrztu. Widzę z każdym dniem, że robi się tu mnóstwo rzeczy, których nie ma w twojej książce, a nie robi się tego, co ona zaleca; wyznaję, że mnie to dziwi i gniewa. Jeśli mi zechcecie wydrzeć pod pozorem chrztu pannę de Saint-Yves, uprzedzam, że ją porwę i że się odechrzczę.

Przeor osłupiał, ciotka rozplakała się.

– Drogi bracie – rzekła – nie dajmyż, aby nasz bratanek miał być potępiony; Ojciec Święty może mu udzielić dyspensy i wówczas będzie mógł po chrześcijańsku zażywać szczęścia z przedmiotem swego ukochania.

Prostaczek uściskał ciotkę.

– Któż jest – spytał – ów zacny człowiek, który tak pocziwie wspomaga dziewczęta i chłopców w ich amorach? Muszę z nim zaraz pogadać.

Wy tłumaczono mu, kto to jest papież; Prostaczek był jeszcze bardziej zdziwiony niż wprzód.

– Ani słowa o tym nie ma w twojej książce, drogi stryju. Sporo podróżowałem; znam morze. Jesteśmy oto nad oceanem; i ja miałbym opuścić pannę de Saint-Yves, aby o pozwolenie kochania jej prosić jakiegoś pana, który mieszka nad Morzem Śródziemnym, o czterysta mil stąd, i którego języka nie rozumiem! To zanadto pocieszne. Idę natychmiast do księdza de Saint-Yves, który mieszka o milę, i rękę wam, że do jutra zaślubię mą ukochaną.

W tej chwili wszedł delegat, który, wedle zwyczaju, spytał go, dokąd spieszy.

– Idę się żenić – rzekł Prostaczek, wybiegając pędem, i w kwadrans znalazł się u pięknej Bretonki, która spała jeszcze.

– Och, bracie – rzekła panna de Kerkabon do przeora – nigdy nie zrobisz poddiakona z tego chłopca!

Delegat był bardzo nierad z tej wyprawy; pragnął, aby syn jego zaślubił pannę de Saint-Yves; syn ten był jeszcze głupszy i nieznośniejszy od ojca.

## VI

### PROSTACZEK PĘDZI DO UKOCHANEJ I WPADA W SZAŁ

Ledwie przybywszy Prostaczek spytał starej służącej, gdzie znajduje się pokój ukochanej, pchnął wątle drzwi i podbiegł do łóżka. Panna de Saint-Yves, nagle zbudzona ze snu, krzyknęła:

-Jak to, to ty? Och! och! to ty! Co pan robi?

Odpowiedział:

– Zaślubiam cię.

I, w istocie, byłby ją zaślubił, gdyby się nie bronila z całą energią dobrze wychowanej osoby.

Prostaczek nie lubił, aby zeń żartowano, wszystko to wydawało mu się bardzo nie na miejscu.

– Inaczej poczyniała sobie ze mną panna Abakaba, moja pierwsza kochanka. Jesteś nieuczciwa; przyrzekłaś mnie zaślubić, a teraz nie chcesz: to jest pogwałcenie najprostszych zasad honoru; nauczę cię dotrzymywać słowa i sprowadzę cię na drogę cnoty.

Prostaczek posiadał męską i nieugiętą cnotę, godną swego patrona Herkulesa, którego imieniem go ochrzczono; miał ją rozwinąć w całej okazałości, kiedy na rozdzierające krzyki panny, bardziej umiarkowanej w cnocie, przybiegł roztropny proboszcz wraz ze swą gospodynią, ze starym służącym bigotem oraz z księdzem wikarym. Widok ten powściągnął zapał napastnika.

– Trójco Przenajświętsza! – wykrzyknął proboszcz. – Co ty tu robisz, sąsiedzie?

– Swoją powinność – odparł młody człowiek – dopełniam przyrzeczenia, które jest święte.

Panna de Saint-Yves, rumieniąc się, poprawiła odzież. Odciągnięto Prostaczka do dalszych pokojów. Proboszcz przedstawił mu okropność tego postępowania. Prostaczek powoływał się na przywileje naturalnego prawa, które znał doskonale. Proboszcz silił się dowieść, że wszelkie pierwszeństwo należy się prawu pisanemu i że gdyby nie układy zawarte między ludźmi, prawo natury byłoby, zawsze niemal, naturalnym rozbojem.

– Trzeba – mówił – rejeta, księży, świadków, kontraktu, dyspensy.

Prostaczek odpowiadał argumentem, który zawsze wytaczają dzicy:

– Muszą z was być bardzo nieuczciwi ludzie, skoro potrzebujecie między sobą tylu ostrożności!

Proboszcz nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Zapewne – rzekł – zdarza się wśród nas sporo zmienników i oszustów; tyleż by się ich znalazło i pośród Huronów, gdyby żyli w wielkim mieście; ale też istnieją dusze roztropne, uczciwe, światłe, i tacy właśnie ludzie utworzyli prawa; im kto poczciwszy, tym bardziej winien się im poddać: daje przykład niegodziwcom, każąc im szanować hamulec, który cnota nałożyła sama sobie.

Ta odpowiedź uderzyła Prostaczka. Wspomnieliśmy już, że miał umysł roztropny; ułagodzone go pochlebnymi słowy; dano mu nadzieję (dwie pułapki, w które chwyta się ludzi na obu półkulach) i pokazano mu nawet pannę de Saint-Yves, skoro ukończyła toaletę. Wszystko odbyło się bardzo przyzwoicie; ale mimo tej obyczajności błyszczące oczy Prostaczka-Herkulesa kazały wciąż spuszczać powieki jego bogdanie i przyprawiały całe towarzystwo o drzenie.



Z niezmierną trudnością przyszło go wyprawić do stryjostwa. Trzeba się było znów uciec do wpływu pięknej panny: im bardziej czuła swoją władzę, tym bardziej go kochała. Wyprawiła go z wielkim swoim strapieniem. Skoro się wreszcie oddalił, proboszcz, który był nie tylko znacznie starszym bratem panny de Saint-Yves, ale i jej opiekunem, postanowił zabezpieczyć pupilkę przed zapałami groźnego zalotnika. Poradził się delegata, który, wciąż mając widoki na pannę dla swego syna, poradził zamknąć biedną dziewczynę w klasztorze. Był to straszliwy cios: nawet osoba obojętna, osadzona w klasztorze, krzyczałaby wniebogłoso; cóż dopiero kochanka, i to kochanka równie cnotliwa, jak czuła! Toteż szalała z rozpaczy.

Wróciwszy do przeora Prostacek opowiedział wszystko ze zwykłą naiwnością. Uraczono go tymi samymi perswazjami, które wywarły pewien wpływ na jego umysł, a żadnego na jego zmysły; ale nazajutrz, kiedy chciał pospieszyć do pięknej bogdanki, aby z nią dysputować o prawie naturalnym i prawie zwyczajowym, delegat oznajmił mu ze złośliwą radością, że panna jest w klasztorze.

– Więc dobrze – odparł – pójdę rozmówić się z nią w klasztorze.

– To niemożliwe – odparł delegat; wytłumaczył mu bardzo obszernie, co znaczy: klasztor, czyli konwent; że to słowo pochodzi od łacińskiego *conventus*, co znaczy: zgromadzenie.

Huron nie mógł zrozumieć, czemu by go nie miano dopuścić do zgromadzenia. Skoro go pouczone, że owo zgromadzenie to rodzaj więzienia, w którym trzyma się dziewczęta pod kluczem – rzecz straszliwa, nieznaną u Huronów i w Anglii – wpadł w taką wściekłość, w jaką popadł patron jego, Herkules, kiedy Euryt<sup>4</sup>, król Echalii, nie mniej okrutny od księdza de Saint-Yves, odmówił mu swej córki Joli, nie mniej pięknej od siostry proboszcza. Chciał podłożyć ogień pod klasztor, porwać kochankę lub spłonąć wraz z nią. Panna de Kerkabon, przestraszona, coraz więcej traciła nadzieję oglądania bratanka poddiakonem i mówiła z płaczem, że diabeł wstąpił weń od czasu, gdy go ochrzczono.

---

<sup>4</sup> Legendarny król Echalii, słynny łucznik, przyrzekł córkę temu, kto go przewyższy w tym ćwiczeniu. Zwyciężony przez Herkulesa, nie chciał dotrzymać słowa i zginął z jego ręki.

## VII

### PROSTACZEK ODPEŁDZA ANGLIKÓW

Pograżony w ciężkiej melancholii, Prostaczek puścił się nad morze, z dubeltówką na ramieniu, z kordelasem u boku, mierząc od czasu do czasu z fuzji do jakiegoś ptaka, a często mając pokusę wymierzyć do siebie; ale kochał jeszcze życie dzięki myśli o pięknej Saint-Yves. To przeklinał stryja, ciotkę, całą Bretanię i swój chrzest, to znów błogosławił wszystko, bo dzięki temu poznał ubóstwianą. To zrywał się, aby podpalić klasztor, to zatrzymywał się w miejscu, rażony myślą, że spaliłby swą bogdanę. Wschodnie i zachodnie wichry nie tak gwałtownie miotają falami La Manche, jak te sprzeczne myśli poruszały jego serce.

Szedł wielkimi krokami, nie wiedząc dokąd, kiedy usłyszał głos bębna. Ujrzał ciżbę ludzi, z których połowa biegła ku wybrzeżu, druga zaś uciekała.

Tysiączne krzyki rozlegały się ze wszystkich stron; ciekawość i junactwo pognały Prostaczka ku miejscu, skąd pochodził hałas; znalazł się tam w paru susach. Komendant milicji, który wieczerzał z nim u przeora, poznał go natychmiast; podbiegł z otwartymi ramionami:

– Ha, to Prostaczek! będzie walczył za nas!

Na to milicjanci, wpółżywi ze strachu, skrzepili się na duchu i jęli również krzyżeć:

– Prostaczek! Prostaczek!

– Panowie – rzekł – o co chodzi? Czemuż jesteście tak wzburzeni? Czy wam zamknięto kochanki w klasztorze?

Setka bezładnych głosów wykrzyknęła:

– Nie widzisz, że Anglicy lądują?

– Więc cóż? – odparł Huron – to godni ludzie; oni nie porwali mi kochanki.

Komendant wytłumaczył mu, że Anglicy przybyli, aby złupić opactwo w Górze, wypić wino jego stryja, a może i porwać pannę de Saint-Yves; że statek, na którym Prostaczek zawinął do Bretanii, przybył jedynie po to, aby się rozpatrzeć w wybrzeżach; że Anglicy podejmują nieprzyjacielskie kroki nie wypowiedziawszy wojny królowi Francji i że kraj jest w niebezpieczeństwie.

– Och! Jeśli tak, w takim razie gwałcą prawo naturalne. Puśćcie mnie tylko; mieszkałem długo wśród nich, znam ich język, pogadam z nimi: nie sądzę, aby mieli tak bezecny zamiar.

Podczas tej rozmowy flota angielska zbliżyła się. Huron pędzi naprzeciw, skacze w czółno, przybija, wdrapuje się na statek admirała i pyta, czy to prawda, że przybywają łupić kraj nie wypowiedziawszy wprzód uczciwie wojny. Admirał i załoga aż zanieśli się od śmiechu; potraktowali go ponczem i odprawili z kwitkiem.

Prostaczek, dotknięty tym obejściem, myślał już tylko o tym, aby się bić przeciw dawnym przyjaciom za swoich rodaków i za księdza przeora. Okoliczna szlachta zbiegała się ze wszystkich stron; przyłączył się do niej. Było tam parę armatek: nabija, mierzy i daje z nich ognia po kolei. Anglicy wysiadają na ląd: biegnie ku nim, zabija własną ręką trzech, rani nawet admirała, który pozwolił sobie zeń zadrwić. Dzielność jego podnieca odwagę całej milicji; Anglicy uciekają na statki, a całe wybrzeże rozbrzmiewa krzykiem:

– Zwycięstwo! Niech żyje król! Niech żyje Prostaczek!

Wszystko ciśnie się ku niemu, każdy chce zatamować krew jego ran. „Ach – myślał Prostaczek – gdyby panna de Saint-Yves była tutaj, przyłożyłaby mi kompres”.

Delegat, który w czasie walki schował się do piwnicy, przyszedł z innymi winszować Prostaczkowi. Ale jakże się zdziwił, kiedy usłyszał, jak nasz Herkules oświadczył kilkunastu chwatom, którzy go otaczali:

– Moi przyjaciele, to jeszcze nic ocalić opactwo; trzeba oswobodzić pannę.

Słowa te rozpromieniły wrzącą młodzież. Cisną się za nim tłumnie, pędzą na klasztor. Gdyby delegat nie uprzedził co rychlej komendanta, gdyby się nie puszczono w tropy tej ochoczej gromadki, byłoby poniewczasie. Odprowadzono Prostaczkę do stryjostwa, którzy powitali go łzami rozczulenia.

– Widzę już, że nie będziesz nigdy poddiakonem ani przeorem – rzekł stryj – będziesz oficerem jeszcze dzielniejszym od mego brata kapitana i prawdopodobnie takim samym gołcem.

A panna de Kerkabon ścisnęła go wciąż, powtarzając z płaczem:

– Zabijają go jak ojca; lepiej mu było zostać poddiakonem.

Wśród walki Prostaczek podniósł z ziemi ciężką sakiewkę z gwineami, prawdopodobnie własność admirała. Nie wątpił, iż dzięki jej zawartości będzie mógł zakupić całą Dolną Bretanię i zrobić z panny de Saint-Yves wielką damę. Wszyscy namówili go, aby się wybrał do Wersalu, iżby tam otrzymał nagrodę swoich usług. Komendant i inni oficerowie wystawili mu najchlubniejsze świadectwa. Stryjostwo pochwalili tę podróż. Z wszelką pewnością będzie przedstawiony królowi: już to samo zapewniłoby mu nie lada stanowisko w okolicy. Pocziwcy pomnożyli angielską sakiewkę wcale okrągłą sumką z własnych oszczędności. Prostaczek myślał w duchu: „Kiedy zobaczę króla, poproszę, żeby mi dał pannę de Saint-Yves za żonę; z pewnością nie odmówi mi”. Pojechał tedy przeprowadzony okrzykami całego kantonu, na wpół uduszony w uściskach, skąpany łzami ciotki, pobłogosławiony przez stryja, polecając się w duchu pięknej pannie de Saint-Yves.

## VIII

### JAK PROSTACZEK UDAŁ SIĘ NA DWÓR I JAK W DRODZE ZDARZYŁO MU SIĘ WIECZERZAĆ W TOWARZYSTWIE HUGONOTÓW

Prostaczek puścił się do Saumur koczobrykiem, ponieważ nie było tam wówczas innego środka komunikacji. W Saumur zdziwił się, znalazłszy miasto prawie opustoszałe<sup>5</sup> i widząc kilka rodzin gotujących się do drogi. Dowiedział się, że sześć lat wprzód Saumur liczyło więcej niż piętnaście tysięcy mieszkańców, obecnie zaś nie ma ani sześciu tysięcy. Napomknął o tym przy wieczerzy. Było przy stole wielu protestantów; jedni skarżyli się gorzko, drudzy trzęśli się z gniewu, inni powiadali płacząc:

*Nos dulcia linquimus arva,  
Nos patriam fugimus<sup>6</sup>*

Prostaczek, który nie rozumiał po łacinie, poprosił o wytłumaczenie tych słów; znaczą one: „Opuszczamy nasze słodkie niwy, uchodzimy z ojczyzny”.

- I czemu panowie uchodźcie z ojczyzny?
- Bo nas zmuszają, abyśmy uznali papieża.
- I czemuż nie mielibyście go uznać? Nie macie zatem chrzestnych matek, które chcielibyście zaślubić? Mówiono mi, że to on daje pozwolenie.
- Och, panie, ten papież powiada, że jest panem dziedzin królewskich.
- Ależ, panowie, jakie wy macie rzemiosło?
- Przeważnie jesteśmy sukiennicy i fabrykanci.
- Gdyby tedy papież głosił się panem waszego sukna i fabryk, mielibyście słuszość nie uznając go; ale co się tyczy królów, to ich sprawa; cóż wy się w to mieszacie?

Wówczas mały człowieczek przemówił i wyłożył bardzo uczenie pretensje obecnych. Naświetlił z taką energią odwołanie edyktu nantejskiego, użalił się tak wzruszająco nad losem pięćdziesięciu tysięcy rodzin, które zbiegły, oraz pięćdziesięciu tysięcy innych, nawróconych przez dragonów, że Prostaczekowi łzy puściły się z oczu.

– Czym się tłumaczy – powiadał – że tak wielki król, którego sława sięga aż do Huronów, pozbawia się tyłu serc gotowych go kochać i tyłu ramion gotowych mu służyć?

– Tym, że go oszukano, jak innych wielkich królów – odparł czarny człowiek. – Wmówiono weń, że skoro tylko rzeknie słowo, wszyscy będą myśleli tak samo jak on; że na jedno skinienie zmienimy religię, jak nadworny muzyk Lulli zmienia dekoracje w operze. Nie tylko traci kilka

---

<sup>5</sup> Po odwołaniu w 1683 r. edyktu nantejskiego hugonoci zaczęli masowo opuszczać Francję. Masowy odpływ sił roboczych z jej manufaktur spowodował upadek przemysłu. Odwołanie edyktu poprzedziły prześladowania protestantów, tzw. dragonady, które miały przymocować ich na katolicyzm.

<sup>6</sup> Wergiliusz, *Eklogi*. I, 3.

tysięcy użytecznych poddanych, ale robi z nich sobie wrogów: król Wilhelm, który jest obecnie panem Anglii, złożył kilka pułków z Francuzów, którzy byliby walczyli za swego monarchę.

– Taka ruina jest tym bardziej zdumiewająca, iż obecny papież, któremu Ludwik XIV poświęca część swego ludu, jest jego jawnym wrogiem. Od dziewięciu lat trwa między nimi zwada. Posunęła się tak daleko, że Francja spodziewała się wreszcie, iż pryśnie jarzmo, w którym ją od tylu wieków dźwierży cudzoziemiec; a zwłaszcza że przestanie w niego pchać pieniądze, co jest główną sprężyną spraw tego świata. Oczywiście jest tedy, że oszukano tego wielkiego króla, fałszywie przedstawiając mu zarówno jego korzyść, jak i zakres jego władzy, i że nadużyto jego wielkoduszności.

Prostaczek, coraz bardziej wzruszony, spytał, kto są owi Francuzi, oszukujący monarchę tak drogiego Huronom.

– To jezuita – odpowiedziano mu – zwłaszcza ojciec de La Chaise, spowiednik Jego Królewskiej Mości. Miejmy nadzieję, że Bóg skarzę ich za to kiedyś i jak oni nas wypędzają, tak i ich wypędzą kiedyś. Byliż kiedy ludzie nieszczęśliwsi od nas? Pan Louvois nasyła nam ze wszystkich stron na kark jezuitów i dragonów.

– Czekajcie, panowie – rzekł Prostaczek, nie mogąc już zapanować nad sobą – jadę właśnie do Wersalu po nagrodę swoich zasług; pogadam z tym panem Louvois: mówiono mi, że to on prowadzi wojny ze swego gabinetu. Zobaczę króla, powiem mu całą prawdę: niepodobna nie uznać prawdy, kiedy się ją czuje. Wróć niebawem, aby zaślubić pannę de Saint-Yves, i proszę was na wesele.

Poczciwi ludzie pomyśleli, że to jakiś wielki pan, podróżujący incognito; niektórzy wzięli go za błazna królewskiego.

Był tam przy stole przebrany jezuita, pełniący funkcję szpiega z ramienia wielebnego ojca de La Chaise. Zdawał mu sprawę ze wszystkiego, ów zaś dzielił się wiadomościami z panem Louvois. Szpieg sporządził raport: Prostaczek i list przybyli prawie równocześnie do Wersalu.

## IX

### JAK PROSTACZEK PRZYBYŁ DO WERSALU I JAK GO PRZYJĘTO NA DWORZE

Prostaczek zajeżdża koczobrykiem na dziedziniec kuchenny. Pyta jakichś ciurów, kiedy można widzieć króla. Zaśmieli mu się w nos, zupełnie jak ów admirał. Potraktował ich tak samo: wygrzmocił ich; porwali się nań z pięściami i scena byłaby się zakończyła krwawo, gdyby nie pewien gwardzista, szlachcic bretoński, który rozpedził kanalię.

– Panie – rzekł przybysz – wydaje mi się pan godnym człowiekiem. Jestem bratankiem przeora Najświętszej Panny z Góry, pobiłem Anglików; przybywam, aby się widzieć z królem; proszę, chciej mnie pan zaprowadzić do jego pokoju.

Gwardzista, uszczęśliwiony, że spotkał tak tęgiego krajana, nieświadomego widocznie obyczajów dworskich, pouczył Prostaczka, że nie tak łatwo jest rozmawiać z królem i że trzeba być przedstawionym przez jego dostojność pana de Louvois.

– Dobrze więc, zaprowadź mnie pan do tego dostojnego pana de Louvois, a on z pewnością zawiedzie mnie do króla.

– Jeszcze trudniej jest – odparł gwardzista – mówić z panem de Louvois niż z samym królem, ale zaprowadzę cię do pana Aleksandra, sekretarza w ministerium wojny, to tak jakbyś mówił z ministrem.

Idą tedy do owego pana Aleksandra, ale nie zdołali doń dotrzeć; zajęty był z jakąś damą i nakazał, aby nie wpuszczano nikogo.

– Głupstwo! – rzekł gwardzista – nie ma nic straconego; chodźmy do sekretarza pana Aleksandra; to tak jakbyś mówił z samym panem Aleksandrem.

Huron, zdumiony niepomału, idzie za gwardzistą; czekają pół godziny w przedpokoiku.

– Cóż to wszystko ma znaczyć? – rzekł Prostaczek. – Czy wszyscy są niewidzialni w tym kraju? O wiele łatwiej jest pobić w Bretanii Anglików niż dotrzeć w Wersalu do kogoś, do kogo się ma sprawę.

Dla zabicia czasu zaczął się krajanowi zwierzać ze swej miłości. Ale wybiła godzina, gwardzista spieszył na posterunek. Przyrzekli sobie zobaczyć się nazajutrz; po czym Prostaczek przetrwał jeszcze drugie pół godziny w przedpokoju, dumając o pannie de Saint-Yves i o trudności mówienia z monarchami i sekretarzami sekretarzów.

Wreszcie gospodarz zjawił się.

– Panie – rzekł Prostaczek – gdybym z odparciem Anglików czekał tak długo, jak pan mi kazałeś czekać na audiencję, hulaliby obecnie w Bretanii co wlezie.

Słowa te uderzyły sekretarza. Spytał wreszcie.

– Czego pan sobie życzy?

– Nagrody – odparł tamten – a oto moje tytuły.

Przedłożył wszystkie świadectwa. Sekretarz przeczytał i rzekł, że prawdopodobnie Prostaczek otrzyma pozwolenie nabycia szarży porucznika.

– Co? Ja mam płacić za to, że odparłem Anglików? Mam opłacać prawo nadstawiania za was karku, gdy wy tu spokojnie urządzacie sobie audiencje? Pan chyba żarty stroi. Żądam kompanii kawalerii darmo; żądam, żeby król dobył pannę de Saint-Yves z klasztoru i dał mi ją za żonę; chcę mówić z królem w imieniu pięćdziesięciu tysięcy rodzin, które pragnę mu wrócić; słowem, chcę być użyteczny: proszę mnie zatrudnić i otworzyć mi drogę do awansu.

– Jak się pan nazywa, mój panie, który krzyczysz tak głośno?

– Ha-ha! – odparł Prostaczek – nie czytałeś pan tedy moich świadectw? Więc to takie są obyczaje? Nazywam się Herkules de Kerkabon, ochrzczony, mieszkam pod Niebieskim Kompasem; poskarżę się na pana przed królem.

Sekretarz osądził, jak mieszkańcy Saumur, że ten obcy nie musi mieć wszystkich klepek w porządku i nie przejął się tym zbytnio.

Tegoż dnia wielebny ojciec de La Chaise, spowiednik Ludwika XIV, otrzymał list od swego szpiega, który obwiniał Bretończyka de Kerkabon, że sprzyja w sercu hugonotom i potępia jezuitów. Pan de Louvois znowuż otrzymał list od pytańskiego delegata, przedstawiający Prostaczka jako draba, który chce palić klasztory i porywać dziewczęta.

Prostaczek, przeszedłszy się trochę po wersalskich ogrodach, gdzie się potężnie znudził, zjadłszy wieczerzę godną Hurona i Bretończyka, położył się spać w słodkiej nadziei, że ujrzy nazajutrz króla, uzyska rękę pięknej Saint-Yves, otrzyma co najmniej kompanię kawalerii i wstrzyma prześladowanie hugonotów. Kołysał się tymi lubymi myślami, kiedy oddział żandarmów wkroczył do pokoju. Najpierw zawładnęli jego dubeltówką i rapierem.

Sporządzono inwentarz gotowizny, którą miał przy sobie, i zawieziono go do zamku, który zbudował Karol V, syn Jana II, koło ulicy Św. Antoniego, wpodłe bramy des Tournelles<sup>7</sup>.

Możecie sobie wyobrazić zdumienie Prostaczka w drodze! Mniemał zrazu, że śni. Trwał w osłupieniu; po czym nagle, przejęty wściekłością, która zdwoiła jego siły, chwytając za gardło dwóch zbirów znajdujących się z nim w karocy, wypycha ich przez drzwiczki, rzuca się sam za nimi, pociągając trzeciego, który go chciał powstrzymać. Pada z wysiłku, wiążą go, wsadzają z powrotem. „Na to więc – myślał – zda się odpędzić Anglików! Cóż byś powiedziała, piękna Saint-Yves, gdybyś mnie ujrziała w tym stanie?”

Dobili wreszcie do schronienia, które mu przeznaczono. Niosą go w milczeniu do celi, mającej mu służyć za więzienie, niby umarłego, którego się niesie na cmentarz. W pokoju tym mieszkał już stary samotnik z Port-Royal, imieniem Gordon, który gnił tam od dwóch lat.

– Ot – rzekł herszt zbirów – przyprowadzam panu towarzystwo – po czym zamknięto za nimi ciężkie rygle u grubych drzwi opatrzonych żelaznymi sztabami. Drzwi te odcięły więźniów od świata.

---

<sup>7</sup> Mowa o Bastylji.

## X

### JAK PROSTACZEK SIEDZI ZAMKNIĘTY W BASTYLII Z JANSENISTĄ

Gordon był to żwawy i pogodny starszek, który umiał dwie wielkie rzeczy: znosić przeciwności i pocieszać nieszczęśliwych. Z twarzą pełną współczucia podszedł do towarzysza i uściskał go, mówiąc:

– Kimkolwiek jesteś, który przychodzisz dzielić mój grób, bądź pewien, że zawsze gotów zapomnieć o sobie, aby łagodzić twoje męczarnie w tej piekielnej czeluści. Ubóstwiamy Opatrzność, która nas tu zawiodła, cierpmy w pokoju i miejmy nadzieję.

Słowa te podziałały na Prostaczka niby eliksir, który przywołuje umierającego do życia i każe mu otworzyć zdumione oczy.

Po tym przywitaniu Gordon, nie nalegając nań, aby mu zwierzył przyczynę swego nieszczęścia, słodyczą swego obcowania oraz ową sympatią, jaką stwarza wspólne nieszczęście, obudził w Prostaczku potrzebę wynurzeń. Młodzieniec zrzucił tedy z serca straszliwy ciężar, który go przygniatał, ale nie mógł odgadnąć źródła swej niedoli; zdawała mu się ona skutkiem bez przyczyny, dobry zaś Gordon podzielał jego zdumienie.

– Widocznie, bracie – rzekł jansenista do Hurona – musi Bóg mieć na ciebie wielkie zamiary, skoro cię zaniósł z jeziora Ontario do Anglii i Francji, dał ci dostąpić chrztu w Bretanii i pomieścił cię tutaj dla twego zbawienia.

– Dalibóg – rzekł Prostaczek – sądziłbym, że to raczej diabeł zajął się moim losem. Moi krajanie w Ameryce nigdy by się nie obeszli ze mną tak po barbarzyńsku; nie mają nawet pojęcia o czymś podobnym. Nazywają ich dzikimi; są to ludzie bardzo sobie prości, mieszkańcy zaś tego kraju to wyrafinowane łajdaki. Dziwi mnie w istocie niepomale, że przywędrował z drugiego świata po to, aby mnie na tym zamknięto na dwa spusty w towarzystwie klechy; ale myślę o ogromnej liczbie ludzi, którzy wędrują z jednej półkuli na to, aby znaleźć śmierć na drugiej, lub którzy giną po drodze w morzu i służą za pokarm rybom: nie widzę w tym wszystkim jakichś osobliwie łaskawych zamiarów Boga.

Podano przez okienko obiad. Dwaj więźniowie rozmawiali sobie o Opatrzności, o więzieniach oraz o sztuce poddawania się nieuchronnym nieszczęściom.

– Już dwa lata siedzę tutaj – rzekł starzec – jedyną pociechę mając w sobie samym i w książkach; ani przez chwilę nie byłem w złym humorze.

– Och, panie Gordon – wykrzyknął Prostaczek – zatem nie kocha pan swojej chrzestnej matki? Gdybyś, jak ja, znał pannę de Saint-Yves, byłbyś w rozpacz.

To mówiąc, nie mógł wstrzymać tchu, a zarazem uczuł, że mu lżej na sercu.

– Hm – rzekł – dlaczego łzy przynoszą ulgę? Zdaje mi się, że raczej powinny by wywierać przeciwne działanie.

– Mój synu, wszystko w nas jest fizyczne – rzekł dobry starzec – wszelkie wydzielanie zbawienne jest dla ciała, wszystko zaś co jemu przynosi ulgę, przynosi ją i duszy: jesteśmy machiną zbudowaną przez Opatrzność.



Prostaczek, który jak wspomnieliśmy nieraz, był wcale bystry, zaczął głęboko dumać nad tą myślą, której zarodek, zdawałoby się, miał w sobie. Wreszcie spytał towarzysza, czemu jego machina znajduje się od dwóch lat pod kluczem.

– Dzięki ł a s c e s k u t e c z n e j – odparł Gordon-uchodzę za jansenistę; znałem panów Arnauld i Nicole<sup>8</sup>; jezuita zawzięli się na nas. Uważamy, że papież jest po prostu biskupem jak każdy inny; i dlatego ojciec de La Chaise uzyskał od króla, swego penitenta, rozkaz pozbawienia mnie, bez wszelkich formalności prawnych, najcenniejszego z dóbr człowieka, wolności.

– A to szczególne – rzekł Prostaczek – wszyscy nieszczęśliwi, których spotkałem, cierpią jedynie przez papieża.

Co się tyczy owej ł a s k i s k u t e c z n e j, wyznaję, że nic się na tym nie rozumiem; ale uważam to za wielką łaskę, że Bóg dał mi spotkać w nieszczęściu człowieka takiego jak pan i że mu pozwala sączyć w moje serce pociechę, do której czułem się niezdolny.

Rozmowy ich stawały się z każdym dniem bardziej pouczające. Dusze dwóch więźniów zbliżyły się. Starzec dużo wiedział, młodzieniec pragnął się wiele nauczyć. Po miesiącu wziął się do geometrii: pochłaniał ją. Gordon dał mu do czytania *Fizykę* Rohaulta, która była jeszcze w modzie; Prostaczek zaś miał tyle rozeznania, że znalazł w niej same jeno niepewności.

Następnie przeczytał pierwszy tom *Szukania prawdy* Malebranche'a. To nowe światło olśniło go.

– Jak to – wykrzyknął – wyobraźnia i zmysły mamiają nas do tego stopnia? Zjawiska nie kształtują naszych pojęć, nie możemy zaś wytworzyć ich sobie sami?

Przeczytawszy drugi tom, mniej był zadowolony i uznał, że łatwiej jest burzyć niż budować.

Towarzysz, zdziwiony, że młody nieuk uczynił postrzeżenie, do którego zdolny jest zazwyczaj jedynie wyrobiony umysł, powziął wielkie pojęcie o talentach Prostaczka i tym więcej przywiązał się do niego.

– Mam wrażenie – mówił Prostaczek – że twój Malebranche napisał pierwszą część książki rozumem, drugą zaś wyobraźnią i przesądami.

W kilka dni potem Gordon spytał:

– Cóż tedy sądzisz o duszy, o sposobie, w jaki poczynamy myśl, o naszej woli, o łasce, o wolnej woli?

– Nic – odparł Prostaczek – a gdybym w ogóle coś sądził, to chyba, że jesteśmy w mocy Wiekuistej Istoty, jak gwiazdy i żywyoty; że ona robi w nas wszystko, że jesteśmy kółeczkami olbrzymiej maszyny, której ona jest duszą; że Istota ta działa za pomocą powszechnych praw, a nie za pomocą poszczególnych zamiarów. To jedno wydaje mi się zrozumiałe; cała reszta jest dla mnie otchłanią mroków.

– Ależ, synu, to znaczyłoby czynić Boga twórcą grzechu.

– Ależ, ojczy, wasza s k u t e c z n a ł a s k a czyniłaby również Boga twórcą grzechu; nie ulega bowiem wątpliwości, że wszyscy, którym odmówiłby tej łaski, popadliby w grzech; a czy ten, kto nas wydaje złemu, nie jest jego sprawcą?

Ta naiwność Prostaczka wprawiała poczciwego Gordona w wielki kłopot; czuł, że daremnie sili się wydobyć z tego trzęsawiska; piętrzył tyle słów mających pozory sensu, a w istocie nie mających żadnego (w rodzaju fizycznego oddziaływania Boga na stworzenia), że Prostaczka brała litość. Zagadnienie to dotyczyło najoczywiściej początków dobrego i złego, za czym trzeba było dobremu Gordonowi przejść kolejno puszkę Pandory, jajko Ormuzda przeklute przez Arymana, nieprzyjaźń między Tyfonem a Ozyrysem, a w końcu grzech pierworodny<sup>9</sup>, i tak

---

<sup>8</sup> Przywódcy jansenistów z Port-Royal.

<sup>9</sup> Różne wyjaśnienia narodzin zła, według religii greckiej, perskiej, egipskiej i chrześcijańskiej.

kręcili się obaj w tej głębokiej nocy, nie mogąc się nigdy spotkać. Ale, ostatecznie, ten romans o duszy odwracał ich wzrok od własnej nędzy i przez jakieś dziwne czary mnogość klęsk wiszących nad światem zmniejszała poczucie własnych ich niedoli; wobec powszechności cierpień nie śmieli się skarżyć.

Ale kiedy Prostaczek ułożył się do snu, obraz pięknej Saint-Yves zacierał w umyśle kochanka wszystkie metafizyczne i moralne abstrakcje. Budził się z oczami mokrymi od łez; a stary jansenista zapomniał o skutecznej łasce, o księdzu de Saint-Cyran<sup>10</sup> i o Janseniuszu, aby pocieszać młodzieńca znajdującego się, wedle jego pojęć, w stanie grzechu śmiertelnego.

Znużywszy się czytaniem i dysputą gwarzyli o swoich przygodach; nagadawszy się zaś o nich bez żadnego pożytku, znowuż brali się wspólnie lub każdy z osobna do czytania. Umysł młodzieńca krzepił się z każdym dniem. W matematyce zwłaszcza byłby zaszedł daleko, gdyby nie dystrakcje, o jakie go przyprawiała panna de Saint-Yves.

Zagłębił się w historię, ale to studium osmuciło go. Świat wydał mu się zbyt niegodziwy i nędzny zarazem. W istocie historia jest jedynie obrazem zbrodni i nieszczęść. Tłum niewinnych i spokojnych ludzi znika na tej rozległej scenie. Aktorami są jedynie ambitne i przewrotne osobistości. Zdaje się, że historia jest interesująca jedynie tak jak tragedia, która staje się mdła, kiedy nie ożywiają jej namiętności, zbrodnie i nieszczęścia. Trzeba uzbroić Klio sztyletem, jak Melpomenę.

Mimo że historia Francji pełna jest okropności, jak wszystkie inne, wydała mu się wszelako tak odrażająca w swoich początkach, tak sucha w pośrodku, tak mała wreszcie, nawet za czasu Henryka IV, tak pozbawiona wielkich dzieł, tak obca owym wspaniałym odkryciom, które dają blask innym narodom, że trzeba mu było walczyć z nudą, kiedy się rozczytywał w owych szczegółach ponurych klęsk stłoczonych w jednym zakątku świata.

Gordon podzielał jego mniemanie. Obaj śmiali się z politowaniem, gdy czytali o udzielnych panach na Fezensac, Fesensaguet i Astarac. Ta nauka miałaby jakąś wartość jedynie dla ich spadkobierców, o ile ich mieli. Świetność republiki rzymskiej uczyniła Prostaczka na jakiś czas obojętnym dla reszty ziemi. Widok zwycięskiego Rzymu, dyktującego prawa światu, pochłonął jego duszę. Płonął, patrząc na ten lud, który przez siedemset lat rządził się miłością wolności i sławy.

Tak mijały dni, tygodnie, miesiące; Prostaczek byłby się czuł szczęśliwy w tym siedlisku rozpacz, gdyby nie to, że kochał.

Poczciwa jego natura roztkliwiała się przy tym nad przeorem Najświętszej Panny z Góry i nad czułą Kerkabońcią. „Co oni pomyślą – powtarzał często – nie mając ode mnie żadnej wiadomości? Będą mnie uważali za niewdzięcznika”. Dręczyło go to; bolał nad tymi, którzy go kochali; o wiele więcej niż nad samym sobą.

---

<sup>10</sup> Jean Duvergier de Hauranne (1581–1643), jeden z czołowych jansenistów.

## XI

### JAK ROZWIJAŁ SIĘ UMYSŁ PROSTACZKA

Książki rozszerzają duszę, a światły przyjaciel daje jej pociechę. Jeniec nasz sycił się tymi dwoma bogactwami, których istnienia nie podejrzewał wprzód.

– Miałbym ochotę – mówił – uwierzyć w metamorfozy: z bydłęcia stałem się człowiekiem.

Część pieniędzy, którymi pozwolono mu rozporządzać, obrócił na to, aby sobie stworzyć wyborową bibliotekę. Przyjaciel zachęcał go do spisywania spostrzeżeń. Oto co napisał o historii starożytnej:

„Wyobrażam sobie, że narody były długo w tym stanie co ja, że doszły do światła bardzo późno, że przez wieki całe zajmowały się jedynie chwilą bieżącą, mało przeszłością, a nigdy przyszłością. Przebiegłem Kanadę na przestrzeni kilkuset mil; nie spotkałem ani jednego pomnika; nikt nie ma pojęcia, co czynił jego pradziadek. Byłżeby to naturalny stan człowieka? Gatunek ludzi tutejszych wydaje mi się wyższy od mieszkańców drugiej półkuli. Od szeregu wieków pomnożyli swoje istnienie przez sztuki i umiejętności. Czy dlatego że mają zarost, którego Bóg odmówił Amerykanom? Nie sędzę: toć Chińczycy nie mają go prawie zupełnie, a uprawiają sztuki przeszło od pięciu tysięcy lat. W istocie, jeżeli kroniki ich liczą więcej niż cztery tysiące lat, musi chyba ten naród istnieć i kwitnąć przeszło od pięćdziesięciu wieków.

Jedna rzecz zwłaszcza uderza mnie w dawnej historii Chin, mianowicie, że wszystko jest tam prawdopodobne i naturalne. Podziwiam w niej to, że nie ma w niej nic cudownego.

Czemu wszystkie narody stworzyły sobie bajeczne początki? Dawni kronikarze Francji, którzy nie są znów tak bardzo dawni, wywodzą Francuzów od Franka, syna Hektora; Rzymianie twierdzili, że pochodzą od Frygijczyka, mimo że nie było w języku ich ani jednego słowa mającego cień związku z językiem Frygii. Bogowie mieszkali dziesięć tysięcy lat w Egipcie, a diabły w Scytii, gdzie poczęły Hunów. Przed Tucydidesem widzę jeno romanse w rodzaju *Amadisa*<sup>11</sup>, a o wiele mniej zajmujące. Wszędzie jeno same zjawy, wyroczone, cudy, czary, metamorfozy, wykłady snów, stanowiące o losach największych mocarstw i najmniejszych państweczek. Tutaj zwierzęta mówią, ówdzie ubóstwia się zwierzęta, bogów przeobrażonych w ludzi i ludzi przeobrażonych w bogów. Och, jeżeli tam trzeba bajek, niechaj te bajki będą bodaj symbolem prawdy! Lubię bajki filozofów, śmieję się z bajek dzieci, ale brzydzę się bajkami szalbierzy”.

Jednego dnia wpadła mu w ręce historia cesarza Justyniana. Wyczytał tam, że nieuki konstantynopolitańskie wydały, w lichej greczyźnie, edykt przeciw największemu wodzowi epoki, dlatego że bohater ten wyrzekł, w ogniu rozmowy, te słowa: „Prawda błyszczący własnym światłem; nie oświeca się umysłów płonąącym stosem”.

Nieucy utrzymywali, że to jest twierdzenie kacerskie, cuchnące herezją; natomiast pogląd katolicki, powszechny i grecki jest wręcz przeciwny; „Oświeca się umysły jedynie płonąłym

---

<sup>11</sup> Hiszpański romans rycerski z XV w. Pełny tytuł: *Amadis de Gaulta* (Amadys z Galii).

stosem; prawda zaś niezdolna jest błyszczeć własnym światłem”. Te golone pałki potępiły w ten sposób wiele słów wodza i wydały nań edykt.

– Jak to – zakrzyknął Prostaczek – tego rodzaju ludzie wydają edykty?!

– To nie edykty – odparł Gordon – to kontredykty, z których wszyscy natrzęsali się w Konstantynopolu, a cesarz pierwszy: był to roztropny monarcha i umiał trzymać nieuków z ogoloną pałą tak, że czynili jeno samo dobre. Wiedział, że ci jegomości, jak i inne duszpastuchy, wyczerpywali swymi kontredyktami cierpliwość jego poprzedników w poważniejszej o wiele materii.

– Bardzo roztropnie – rzekł Prostaczek – trzeba popierać pastoforów, a zarazem trzymać ich na wodzy.

Prostaczek skreślił jeszcze wiele innych uwag, które przeraziły starego Gordona.

„Jak to – pomyślał – ja strawiłem pięćdziesiąt lat na nauce i oto ledwie zdołam nadażyć wrodzonemu rozsądkowi na wpół dzikiego chłopczyny?! Lękam się, że ja, z wielkim mozołem, umacniałem się w przesądach; on zaś słucha jedynie natury”.

Pocziwiec miał pod ręką parę utworów krytycznych, owych ulotnych broszurek, w których ludzie niezdolni niczego stworzyć zohydzają dzieła innych; gdzie tacy panowie Visé lżą Racine’ów, a panowie Favdit Fénelonów. Prostaczek przejrzał kilka takich broszur.

– To coś – powiadał – jak owe muchy składające jajka na zadzie najpiękniejszych rumaków: co nie przeszkadza rumakom cwałować.

Nasi dwaj filozofowie ledwie raczyli rzucić okiem na te odchody literatury.

Przestudiowali wspólnie zasady astronomii; Prostaczek sprowadził mapy i globusy: to wielkie widowisko przejmowało ich zachwytem.

– Jak ciężko jest – powiadał – poznawać niebo dopiero wówczas, kiedy mi wydarto prawo oglądania go! Jowisz i Saturn toczą się w niezmiernych przestrzeniach; miliony słońc oświetlają miliardy światów; a w tym zakątku ziemi, kędy mnie rzucono, pozbawiają mnie, widzącą i czującą istotę, wszystkich owych światów, które wzrok mój mógłby ogarnąć, oraz tego, w którym Bóg mi się dał zrodzić! Światło stworzone dla całego wszechświata stracone jest dla mnie! Nie skrywano mi go tam, na północy, gdzie spędziłem dzieciństwo i młodość. Bez ciebie, drogi Gordonie, byłbym tu pogrążony w nicości.

## XII

### CO PROSTACZEK SĄDZI O UTWORACH TEATRALNYCH

Młody Prostaczek podobny był krzepkiemu drzewu, które zrodzone w niewdzięcznym gruncie, a przeniesione w żyzną glebę, bujnie puszcza korzenie i gałęzie. Osobliwe jest, że glebą tą stało się więzienie.

Między książkami, które zapełniły wyuczasy więźniów, znalazły się poezje, przekłady greckich tragedii, parę francuskich sztuk teatralnych. Wiersze, które mówiły o miłości, wniosły w duszę Prostaczka wraz rozkosz i cierpienie: wszystkie mówiły mu o drogiej Saint-Yves. Bajka o dwóch gołąbkach<sup>12</sup> ścisnęła mu serce: jakże daleki był od powrotu do swego gołębnika!

Molier zachwyił go: dał mu poznać obyczaje Paryża i rodzaju ludzkiego.

– Która z komedii jego wydaje ci się najcelniejszą?

– *Świętoszek*, bez wahania.

– Godzę się z tobą – rzekł Gordon. – *Świętoszek* wtrącił mnie do tej kaźni i ty nieszczęście swoje zawdzięczasz *świętoszkom*.

– Jak ci się wydają tragedie greckie?

– Dobre dla Greków – rzekł Prostaczek.

Ale kiedy przeczytał nowożytną *Ifigenię*, dalej *Fedre*, *Andromakę*, *Atalię*<sup>13</sup>, wpadł w zachwyt, wzdychał, wylewał łzy; niebawem umiał je na pamięć, mimo że nie starał się o to.

– Przeczytaj *Rodogunę*<sup>14</sup> – rzekł Gordon – powiadają, że to arcydzieło; inne sztuki, które dały ci tyle przyjemności, niczym są w porównaniu.

Ledwie chłopiec przeczytał pierwszą stronicę, rzekł:

– To nie tego samego autora.

– Po czym poznajesz?

– Nie wiem; ale te wiersze nie idą mi do ucha ani do serca.

– Och, wiersze, to mniejsza – rzekł Gordon.

Prostaczek odparł:

– Po cóż zatem pisać wierszem?

Przeczytawszy z uwagą sztukę, jedynie z myślą znalezienia w niej przyjemności, patrzył na przyjaciela suchymi i zdumionymi oczyma i nie wiedział, co powiedzieć; wreszcie naglony, aby zdał sprawę ze swych wrażeń, rzekł:

– Nie rozumiałem zupełnie początku; środek oburzył mnie; ostatnia scena wzruszyła mnie mocno, mimo iż mało prawdopodobna; żadna z osób nie wzbudziła we mnie sympatii i nie zapamiętałem ani dwudziestu wierszy; a zazwyczaj pamiętam wszystkie, które mi się podobają.

– A jednak sztuka ta uchodzi za najlepszą w naszym teatrze.

– Jeżeli tak – odparł – spotkał ją los wielu ludzi, którzy niewarci są swoich stanowisk. Ostatecznie, to rzecz smaku; mój widocznie nie jest jeszcze wyrobiony, mogę się mylić; ale

---

<sup>12</sup> Bajka La Fontaine'a (*Les deux Pigeons*, IX 2).

<sup>13</sup> Tragedie Racine'a.

<sup>14</sup> Tragedia Comeille'a.

wiesz, że zwykłem mówić dość szczerze, co myślę, a raczej co czuję. Podejrzewam, że w sądach ludzkich niemałą rolę grają złudzenie, moda, kaprys. Mówiłem wedle swej natury; może być, że natura jest we mnie bardzo niedoskonała; ale może być także, że większość ludzi za mało zasięga jej zdania.

To rzekłszy, zaczął powtarzać wiersze z *Ifigenii*, której był pełen; mimo że nie umiał pięknie deklamować, włożył w nie tyle prawdy i przejęcia, że wycisnął łzy staremu janseniście. Odczytał następnie *Cynnę*. nie płakał, ale podziwiał.

### XIII

#### PIĘKNA SAINT-YVES UDAJE SIĘ DO WERSALU

Podczas gdy piękny chłopiec znajdował więcej światła niż pociechy, gdy umysł jego, dławiony od tak dawna, rozwijał się z taką chyżością i siłą, gdy natura, doskonaląc się w nim, mściła się za krzywdy losu, cóż się działo z przeorem i jego zacną siostrą oraz z piękną Saint-Yves? Pierwszego miesiąca niepokojono się; w trzecim niepokój ustąpił miejsca boleści; fałszywe domysły, czcze pogłoski pomnożyły jeszcze zamęt; po pół roku opłakiwano już Prostaczka. Wreszcie państwo de Kerkabon dowiedzieli się z zapóźnionego listu, pisanego przez gwardzistę królewskiego do kogoś w Bretanii, że młody człowiek, z opisu podobny do Prostaczka, przybył wieczorem do Wersalu, ale że go porwano tejże nocy i że od tego czasu wszelki słuch o nim zaginął.

– Ach, ach – wzdychała panna de Kerkabon – ten chłopiec znowu musiał palnąć jakieś głupstwo i wpakował się w kabałę. Jest młody, przybywa z prowincji, nie wie, jak się zachować na dworze. Drogi bracie, nie widziałam nigdy Wersalu ani Paryża; to piękna sposobność; odnajdziemy może biednego chłopca: toć to syn rodzonego brata; obowiązkiem naszym jest spieszyć mu z pomocą. Kto wie, czy nie zdołamy w końcu zrobić zeń poddiakona, skoro się nieco wyszumi z szaleństw młodości. Miał dobrą głowę do nauk. Pamiętasz, jak rozprawiał o *Starym i Nowym Testamencie*? Jesteśmy odpowiedzialni za jego duszę; myśmy go namówili na chrzest; ukochana jego Saint-Yves trawi dnie we łzach. Doprawdy, trzeba jechać do Paryża. Jeżeli tkwi w którymś z owych domów rozpusty, o których mi tyle opowiadano, wywieziemy go.

Słowa siostry wzruszyły przeora. Udał się do biskupa z Saint-Malo, tego, który ochrzcił Hurona, i poprosił o pomoc i radę. Prałat pochwalił myśl podróży; dał przeorowi listy polecające do ojca de La Chaise, spowiednika króla Imci, piastującego tym samym pierwszą godność w królestwie, dalej do arcybiskupa paryskiego Harlaya i do biskupa z Meaux, Bossueta.

Wreszcie przeor wraz z siostrą puścili się w drogę. Ale kiedy przybyli do Paryża, uczuli się niby w olbrzymim labiryncie bez nitki i bez wyjścia. Zasoby ich były dość skromne, trzeba im było co dzień najmować pojazdy, aby się puszczać na poszukiwania, a nie znajdowali nic.

Przeor udał się do wielbnego ojca de La Chaise: właśnie przyjmował pannę Du Tron i nie miał czasu dla żadnych przeorów. Udał się do konsystorza: prałat konferował właśnie z piękną panią de Lesdiguières w ważnych sprawach kościelnych. Pospieszył na wieś do biskupa z Meaux: badał właśnie, w towarzystwie panny de Mauléon, „miłość mistyczną” pani Guyon<sup>15</sup>. Mimo to przeor dostał się wreszcie do obu prałatów: obaj oświadczyli, że nie mogą się zająć sprawą jego bratanka, ponieważ nie jest nawet poddiakonem.

Wreszcie dotarł do jezuitę; ten przyjął go z otwartymi rękami; upewnił, że zawsze miał dlań osobliwy szacunek, mimo że go nigdy nie widział na oczy; zaklął się, że jego czcigodny zakon zawsze był wielce życzliwy Dolnobretończykom.

---

<sup>15</sup> Jeanne-Marie Bouvier de La Motte (1648–1717). głosicielka mistycznej nauki, kwiatyzmu, wedle której dusza zatopiona w Bogu nie potrzebuje praktyki sakramentów i dobrych uczynków.

- Ale – spytał – czy pański bratanek nie był, broń Boże, hugonotem?
- Nie, z pewnością nie, wielebny ojczcie.
- A czy nie jest jansenistą?
- Mogę uręczyć waszej wielbności, że ledwie jest chrześcijaninem: dopiero jedenaście miesięcy, jakeśmy go ochrzczili.
- Doskonale! doskonale... będziemy pamiętali o nim... Czy pańskie opactwo dużo przynosi?
- Och, bardzo skąpo... a ten bratanek mnóstwo nas kosztuje.
- Czy są janseniści w sąsiedztwie? Miej się pan na baczności, drogi przeorze, to ludzie niebezpieczniejsi niż hugonoci i ateusze.
- Nie, wielebny ojczcie, nie ma ich u nas: w opactwie Najświętszej Panny z Góry nikt nie wie nawet, co to jansenizm.
- Tym lepiej! Bywaj tedy zdrów; co będę mógł, uczynię dla pana.
- Pożegnał serdecznie przeora i nie myślał o nim więcej.
- Czas upływał. Przeor oraz zacna jego siostra wpadli w rozpacz.

Tymczasem przeklęty delegat nastawał na małżeństwo swego dryblasa z piękną Saint-Yves, którą umyślnie w tym celu wydobyto z klasztoru. Co do niej, wciąż kochała swego chrzestnego syna, w równej mierze jak nienawidziła człowieka narzucanego jej na męża. Wstyd, że ją zamknięto w klasztorze, pomnażał jej miłość; wstręt do przymusowego małżeństwa doprowadzał ją do szczytu rozpacz. Jak wiadomo, miłość młodej dziewczyny jest o wiele przemyślniejsza i śmielsza niż życzliwość starego przeora oraz czterdziestopięcioletniej ciotki. Prócz tego panienka ukształciła się znacznie przez czas pobytu w klasztorze, a to dzięki romansom, czytowanym ukradkiem.

Pięknej Saint-Yves utkwiał w głowie list królewskiego gwardzisty obiegający okolicę. Postanowiła sama udać się do Wersalu po informacje, rzucić się do nóg ministrom, o ile jej narzeczony znajduje się w więzieniu (jak o tym przebąkiwano), i uzyskać dlań sprawiedliwość. Jakieś przecucie szeptało jej, że na dworze niczego nie odmawiają ładnej dziewczynie; ale nie wiedziała, jaką ceną trzeba to opłacać.

Powziąwszy postanowienie nabiera otuchy, uspokaja się, nie czyni już afrontów swemu pociesznemu zalotnikowi, mile przyjmuje wstrętne delegata, czuli się do proboszcza, napełnia dom weselem; następnie w dniu przeznaczonym na zaślubiny, o czwartej rano puszcza się po kryjomu w drogę, zagarnawszy drobne upominki weselne i w ogóle, co mogła. Obmyśliła wszystko, tak że była już przeszło o dziesięć mil, kiedy koło południa zajrzano do jej pokoju. Trudno opisać zdumienie i popłoch całego domu. Pytalski delegat zadał tego dnia więcej pytań niż zwykle przez cały tydzień; oblubieniec miał minę głupszą niż kiedykolwiek. Ksiądz de Saint-Yves, wściekły, postanowił pędzić za siostrą; delegat i jego syn namyślili się towarzyszyć mu: tak więc los zaniósł do Paryża prawie cały kanton Dolnej Bretanii.

Piękna Saint-Yves domyślała się, że ją będą ścigali. Jechała konno; wypytywała zręcznie kurierów, czy nie widzieli gdzie grubego proboszcza, olbrzymiego delegata i młodego dudka, jadących w stronę Paryża. Dowiedziawszy się trzeciego dnia, że są niedaleko, zabrała się odmienną drogą i dzięki sprytowi i szczęściu zdołała dobić do Wersalu, gdy jej szukano bezskutecznie w Paryżu.

Ale jak obrócić się w Wersalu? Młoda, piękna, bez oparcia, nieznana, zagrożona na każdym kroku, jak mogła szukać królewskiego gwardzisty? Wpadło jej na myśl, aby się zwrócić do jezuitów ostatniej klasy: istnieją bowiem jezuita dla wszelkich stanów. Jak Bóg, powiadają, dał różnaitą strawę różnaitym rodzajom zwierząt, tak dał królowi spowiednika, którego wszyscy łowcy beneficjów nazywali „głową gallikańskiego kościoła”; następnie szli spowiednicy księżniczek; ministrowie nie mieli spowiedników: nie byli tak głupi! Byli też jezuita dla



pospółstwa, a zwłaszcza jezuici dla pokojówek, przez które zyskiwało się sekrety ich pań: wcale nie lada jakie zadanie. Piękna Saint-Yves zwróciła się do jednego z takich: zwał się ojcem Do Wszystkiego. Wypowiadała się przed nim, zwierzyła mu swoje przygody i niebezpieczeństwa i zakłęła go, aby ją umieścił u jakiej pobożnej damy, gdzie by była bezpieczna od pokus.

Ojciec Do Wszystkiego umieścił ją u żony jednego z urzędników dworskiego stołu, jednej ze swych najgorliwszych penitentek. Od pierwszej chwili panna de Saint-Yves postarała się zyskać sympatię tej kobiety; dopytywała się o gwardzistę Bretończyka i ściągnęła go do siebie. Dowiedziawszy się, że ukochanego jej uwięziono tuż po rozmowie z sekretarzem ministra, pędzi do biura sekretarza. Widok pięknej buzi ułagodził urzędnika; trzeba przyznać, że Bóg stworzył kobiety jedynie po to, aby obłaskawiały mężczyzn.

Gryzipiórek, zdjęty czułością, wyznał jej wszystko.

– Narzeczony pani jest w Bastylji blisko od roku i gdyby nie pani, spędziłby tam zapewne całe życie.

Tkliwa Saint-Yves zemdląca. Skoro odzyskała zmysły, gryzipiórek ciągnął dalej:

– Jestem bezsilny, gdy chodzi o to, aby komu pomóc; cała moja władza ogranicza się do tego, że mogę zaszkodzić od czasu do czasu. Wierzaj mi, udaj się do pana de Saint-Pouange, który ma wszystko w rękę, jako krewniak i ulubieniec jego dostojności pana de Louvois. Ten minister ma dwie dusze: jedną jest pan de Saint-Pouange, drugą pani du Fresnoi, ale jej nie ma obecnie w Wersalu. Nie pozostaje ci nic, jak tylko próbować go wzruszyć i uzyskać jego pomoc.

Piękna Saint-Yves, wahająca się między odrobiną radości a dotkliwym bólem, między wątplą nadzieją, a smutnymi obawami, ścigana przez brata, przejęta miłością, ocierając łzy i lejąc je na nowo, drżąca, osłabiona i zbierająca siły, pobiegła szybko do pana de Saint-Pouange.

## XIV

### POSTĘPY INTELIGENCJI PROSTACZKA

Prostaczek robił szybkie postępy w naukach, a zwłaszcza w nauce o człowieku. Przyczyną jego szybkiego rozwoju było – prawie na równi z wrodzoną bystrością umysłu -jego dzikie wychowanie. Nie nauczywszy się niczego w dzieciństwie, nie miał przesądów: pojęcie jego, nie wykrzywione żadnym błędem, zachowało całą prostotę. Widział rzeczy takimi, jakimi są; podczas gdy poglądy wszczepione za młodu każą nam je widzieć całe życie takimi, jakimi nie są.

– Twoi prześladowcy to łotry – mówił do swego przyjaciela Gordona. – Żal mi cię, że cierpisz, ale żal mi cię także, że jesteś jansenistą, wszelka sekta wydaje mi się sztandarem błędu. Powiedz mi, czy istnieją sekty w geometrii?

– Nie, drogie dziecko – rzekł dobry Gordon wzdychając – wszyscy są w zgodzie co do prawdy, kiedy jest dowiedziona; aż nazbyt różnią się natomiast co do prawd ciemnych.

– Powiedz: co do faktów ciemnych. Gdyby istniała jedna jedyna prawda pod stosem przetrząsanych od tylu wieków argumentów, odkryto by ją z pewnością i świat byłby zgodny bodaj co do jednego punktu. Gdyby ta prawda była tak potrzebna, jak słońce jest potrzebne ziemi, błyszczałaby jak ono. To niedorzeczność, to zniewaga dla rodzaju ludzkiego, zbrodnia przeciw Nieskończonej Istocie mówić: „Istnieje prawda nieodzowna dla człowieka i prawdę tę Bóg ukrył”.

Poglądy młodego nieuka, oświeconego przez naturę, czyniły głębokie wrażenie na umyśle starego, nieszczęśliwego mędrca.

– Byłoby prawdą – wykrzyknął – żem wydał życie na łup nieszczęść dla czczej chimery? Jestem o wiele pewniejszy swego nieszczęścia niż łaski skutecznej. Strawiłem dni na rozumowaniu o wolności Boga i rodzaju ludzkiego, a w zamian straciłem własną; ani święty Augustyn, ani święty Prosper nie wydobędą mnie z tej czeluści.

Prostaczek, snując dalej myśli, rzekł w końcu:

– Chcesz, abym po prostu i śmiało wyraził swoje zdanie? Ci, co narażają się na prześladowanie dla tych pustych szkolarskich sporów, wydają mi się niezbyt rozsądni; ci, którzy prześladowają, to potwory.

Obaj więźniowie zgodnie oceniali niesprawiedliwość, jaka ich spotkała.

– Jestem stokroć godniejszy współczucia od ciebie – mówił Prostaczek – urodziłem się wolny jak ptak; miałem dwa życia: moją wolność i moją miłość; wydarto mi je. Oto gnijemy tu obaj w kajdanach, nie znając przyczyny ani mogąc spytać o nią. Żyłem do dwudziestu lat jako Huron: nazywają Huronów barbarzyńcami, bo się mszczą na wrogach; ale nigdy nie gnębili przyjaciół. Ledwie stąpił nogą we Francji, już wylałem krew za nią: ocaliłem jej może prowincję; w nagrodę zagrzebano mnie w tym grobie, gdzie, gdyby nie ty, umarłbym z wściekłości. Czy nie istnieją prawa w tym kraju? Skazuje się ludzi bez wysłuchania ich! Nie tak poczynają sobie w Anglii. Ha, nie przeciw Anglikom powinienem był dobyć oręża!

Tak oto jego rodząca się filozofia nie mogła zmóc natury obrażonej w elementarnym prawie i zostawiała wolny bieg jego gniewom. Towarzysz nie hamował go. Oddalenie pomnaża zawsze

niezaspokojoną miłość, filozofia zaś nie zmniejsza jej. Prostaczek mówił o swej drogiej Saint-Yves nie mniej często co o moralności i metafizyce. Im bardziej oczyszczały się jego uczucia, tym więcej kochał. Przeczytał kilka nowych romansów; niewiele znalazł w nich obrazów zgodnych ze stanem swej duszy. Czuł, że serce jego wybiega zawsze poza to, co czytał.

– Ach – powiadał – prawie wszyscy ci autorowie posiadają jeno dowcip i sztukę.

Zacny kapłan-jansenista stawał się nieznacznie powiernikiem jego tkliwości. Przedtem znał miłość jedynie jako grzech, z którego się człowiek kaja przy spowiedzi; obecnie poznał ją jako uczucie równie szlachetne, jak tkliwe, które może w tym samym stopniu podnieść duszę, co zwałić ją, a nawet natchnąć ją cnotą. Słowem, stał się największy cud: Huron nawrócił jansenistę.

## XV

### PIĘKNA SAINT-YVES OPIERA SIĘ DRAŻLIWYM PROPOZYCJOM

Piękna Saint-Yves, jeszcze bardziej przejęta tkliwością niż jej kochanek, udała się do pana de Saint-Pouange w towarzystwie przyjaciółki, u której mieszkała: obie starannie zakwefione. Pierwszym widokiem, który ją uderzył u bramy, był ksiądz de Saint-Yves, jej brat, który wychodził stamtąd. Wystraszyła się; ale nabożna przyjaciółka dodała jej ducha.

– Właśnie dlatego, że czynią kroki przeciw tobie, trzeba się starać przemówić za sobą. Wiedz, że w tym kraju oskarżyciele mają zawsze słuszość, o ile ich rychło nie pognębić. Zresztą albo się grubo myłę, albo twój widok sprawi większe wrażenie niż słowa twojego brata.

Wystarczy tylko trochę dodać odwagi zakochanej kobiecie, a wraz staje się nieustraszona. Piękna Saint-Yves weszła do sali audiencjonalnej. Młodość jej, powab, tklive oczy zwilżone łzami ściągnęły na nią wszystkie spojrzenia. Dworacy podministra zapomnieli na chwilę o bożyszczu władzy, aby napawać oczy bóstwem piękności. Saint-Pouange wpuścił ją do gabinetu; przemówiła w sposób pełen czułości i wdzięku. Saint-Pouange, wzruszony, starał się dodać otuchy drżącej petentce.

– Wróć pani dziś wieczór – rzekł – sprawa twoja zasługuje, aby ją rozpatrzeć, aby o niej pomówić obszerniej; w tej chwili jest tu za wiele ludzi, audiencje są zbyt pobieżne; trzeba, żebyśmy pogadali szczegółowiej o wszystkim, co pani tyczy.

Za czym, rzekłszy parę pochlebnych słów o jej piękności i sercu, zalecił jej przyjść o siódmej wieczór.

Stawiła się punktualnie; nabożna przyjaciółka towarzyszyła jej znowu, ale została w salonie, czytając *Chrześcijańskiego pedagoga*, gdy Saint-Pouange i piękna Saint-Yves przeszli do gabinetu.

– Czy pani sobie wyobrazi – rzekł z miejsca – że twój brat przyszedł żądać ode mnie dekretu uwięzienia cię? Doprawdy, raczej podpisałbym dekret wyprawiający go z powrotem do Bretanii.

– Ach, panie, widzę, że pańskie ministerium musi być bardzo hojne, gdy idzie o takie dekrety, skoro z zapadłej prowincji przychodzą prosić o nie niby o pensje... Nie chcę bynajmniej żądać czegoś podobnego dla brata. Mam wiele powodów, aby się nań żalić; ale szanuję wolność ludzką, przychodzę też żądać wolności dla człowieka, którego chcę zaślubić, człowieka, któremu król winien jest ocalenie prowincji, który może mu dzielnie służyć, będąc synem oficera poległego w jego służbie. O co go oskarżają? W jaki sposób można się było z nim obejść tak okrutnie bez wysłuchania go?

Wówczas ów niby-minister pokazał jej list jezuickiego szpiega, jak również pismo zdrajcy-delegata.

– Jak to! Istnieją na ziemi podobne potwory? I mnie chciano zmusić, abym zaślubiła syna tej śmiesznej i podłej figury! I to wedle takich opinii rozstrzyga się tu o losie obywateli.

Padła na kolana, szlochając błagała o wolność dla swego dzielnego oblubieńca. Wzruszenie tym lepiej uwydatniło jej wdzięki. Była tak piękna, że Saint-Pouange, zbywając się wszelkiego wstydu, dał jej do zrozumienia, że wszystko może osiągnąć, jeżeli na początek odda mu

pierwociny tego, co przeznacza dla swego kochanka. Przeżona i zmieszana Saint-Yves udawała długo, że nie rozumie, trzeba było wytłumaczyć się jaśniej. Po słówkach rzucanych zrazu bardzo oględnie, nastąpiły inne, wyrazistsze. Ofiarował jej nie tylko cofnięcie dekretu, ale nagrody, pieniądze, honory; im więcej przyrzekał, tym bardziej rosła w nim żądza zwalczania oporu. Saint-Yves zanosila się od płaczu, dławila się od szlochu, upadłszy na sofę: ledwie mogła wierzyć temu, co widzi i słyszy. Saint-Pouange znalazł się u jej kolan. Nie był bynajmniej odrażający i łatwo mógłby skusić mniej obronne serce; ale Saint-Yves ubóstwiała kochanka i uważała, że to straszna zbrodnia zdradzić go, aby go ratować. Saint-Pouange zdawał prośby i obietnice; wreszcie stracił głowę do tego stopnia, iż oświadczył, że to jest jedyny sposób uwolnienia człowieka, będącego przedmiotem tak gorących i tkliwych uczuć. Dziwna ta rozmowa przeciągnęła się długo. Dewotka, czytając w przedpokoju *Chrześcijańskiego pedagoga*, mówiła sobie: „Mój Boże, co oni tam mogą robić od dwóch godzin? Nigdy jego dostojność nie udzielił mi tak długiej audiencji; musi widocznie być nieubłagany dla tej biednej dziewczyny, skoro wciąż prosi go jeszcze”.

Wreszcie towarzyszka jej wyszła z gabinetu, oszołomiona, niezdolna wyrzec słowa, zastanawiając się nad charakterem wielmożów i podwielmożów, którzy z tak lekkim sercem frymarczą wolnością mężczyzn i honorem kobiet.

Nie rzekła ani słowa całą drogę. Przybywszy do domu wybuchnęła, opowiedziała wszystko. Dewotka przeżegnała się kilka razy.

– Droga moja – rzekła – trzeba zaraz jutro poradzić się ojca Do Wszystkiego, naszego spowiednika; ma wielki wpływ na pana de Saint-Pouange, spowiada kilka pokojówek z jego domu; to człowiek nabożny i uczynny, który ma w swej duchownej pieczy również i wielkie damy. Zdaj się na niego, jak ja czynię; zawsze mi to wyszło na dobre. My, biedne kobiecie, potrzebujemy zawsze męskiej ręki.

– Dobrze więc, droga, idę jutro do ojca Do Wszystkiego.

## XVI

### PANNA DE SAINT-YVES RADZI SIĘ JEZUITY

Znalazłszy się sam na sam z dobrym spowiednikiem, piękna i zboląła Saint-Yves zwierzyła mu, że pewien dygnitarz, równie potężny jak rozwiązyły, ofiarował się wydobyć z więzienia jej narzeczonego, ale że za swą usługę żąda strasznego okupu; co do niej, czuje nieopisany wstręt do takiej zdrady i gdyby chodziło tylko o jej życie, poświęciłaby je raczej, niżby miała ulec.

– Cóż za paskudny grzesznik – rzekł ojciec Do Wszystkiego. – Wymień mi nazwisko tego niegodziwca: to z pewnością jakiś jansenista. Doniosę o tym jego wielbności ojcu de La Chaise; każe wtrącić jego samego do kaźni, w której jęczy twój oblubieniec.

Po długim wahaniu biedna dziewczyna, wielce zakłopotana, wymieniła wreszcie nazwisko pana de Saint-Pouange.

– Saint-Pouange! – wykrzyknął jezuita. – Och, moje dziecko, to zupełnie co innego, to krewniak największego ministra, jakiegośmy mieli; człowiek zacny, obrońca dobrej sprawy, dobry chrześcijanin; nie mógł mieć takiej myśli; musiałś go źle zrozumieć.

– Och, ojczy, rozumiałam aż nadto; zgubiona jestem, co bądź uczynię; trzeba mi wybierać między nieszczęściem a hańbą; albo mój kochanek będzie żywcem pogrzebany, albo ja stanę się niegodną życia. Nie mogę mu dać zginąć i nie mogę go ocalić.

Ojciec Do Wszystkiego starał się ją ukoić łagodnymi słowy.

– Po pierwsze, moja córko, nie używaj tego słowa: „mój kochanek”; jest w nim coś świeckiego, co mogłoby obrazić Boga; mów: „mój mąż”; mimo bowiem że nim jeszcze nie jest, ty uważasz go za męża; to jest w porządku.

Po wtóre, mimo że to jest twój małżonek duchem, nadzieją, nie jest nim jeszcze faktycznie: nie popełniłabyś zatem cudzołóstwa, strasznego grzechu, którego zawsze trzeba unikać, o ile tylko możliwe.

Po trzecie, uczynek nie mieści w sobie znamion występku, o ile intencja jest czysta, a nie ma nic czystsze go nad chęć oswobodzenia swego męża.

Po czwarte, masz przykłady w świętej starożytności, doskonale nadające się do tej sytuacji. Święty Augustyn podaje, iż za prokonsulatu Septyma Acyndyna, w roku pańskim 340, pewien biedny człowiek, nie mogąc spłacić cesarzowi, co jest cesarskiego, został skazany na śmierć, jak się godziło, mimo maksymy: „Gdzie nie ma nic, tam i król traci swoje prawa”. Chodziło o funt złota; otóż, skazaniec ów miał żonę, w której Bóg złożył skarby urody i roztropności. Stary bogacz ofiarował się dać funt złota, a nawet więcej, owej damie, pod warunkiem, że dopuści się z nim grzechu wszeteczeństwa. Pani ta uznała, że spełni zbożne dzieło, ocalając życie mężowi. Święty Augustyn pochwała wielce jej szlachetną rezygnację. Co prawda, stary kutwa oszukał ją i męża jej może i tak powieszono, ale zrobiła wszystko, co było w jej mocy, aby mu ocalić życie.

Bądź pewna, moja córko, że kiedy jezuita cytuje świętego Augustyna, musi już ten święty mieć zupełną słusność. Nie radzę ci nic; masz rozum; trzeba sądzić, iż zechcesz przyjść z pomocą mężowi. Pan de Saint-Pouange jest zacny człowiek, nie oszuka cię; to wszystko, co mogę ci powiedzieć; będę się modlił do Boga za ciebie i mam nadzieję, że wszystko się odbędzie ku jego największej chwale.

Piękna Saint-Yves, nie mniej przerażona wywodami jezuitów co namowami podministra, wróciła do przyjaciółki w rozpacz. Miała już pokusę, aby śmiercią wyzwolić się z okrutnego położenia, w którym albo jej trzeba było zostawić w straszliwej kaźni ubóstwianego kochanka, albo też uwolnić go za cenę tego, co jej było najdroższe i co winno było należeć jedynie do niego.

## XVII

### SAINT-YVES UPADA PRZEZ CNOTE

Błagała przyjaciółkę, aby ją zabiła; ale ta, nie mniej pobłażliwa od jezuita, naświetliła sprawę jeszcze wyraźniej.

– Niestety – rzekła – nic się nie dzieje inaczej na tym tak miłym, świątym, sławnym dworze. Najskromniejsze i najwyższe stanowiska zdobywa się najczęściej za cenę, której zażądano od ciebie. Posłuchaj, mam dla ciebie wiele przyjaźni i zaufania; wyznam ci, że gdybym miała tyle skrupułów co ty, mąż mój nie zajmowałby posadki, która mu daje środki do życia; wie o tym i nie tylko się nie gniewa, ale uważa mnie za swą dobrodziejkę. Czy myślisz, że wszyscy, którzy piastowali gubernaturę, a nawet dowództwo armii, jedynie zasługom winni byli zaszczyty i fortunę? Niejeden zawdzięczał je swojej dzielnej żonie. Godności wojenne były zdobyczą miłości, a buława dostawała się w ręce męża najpiękniejszej. Twoje położenie jest o wiele sympatyczniejsze: chodzi o to, aby wrócić ukochanemu wolność i zaślubić go; to święty obowiązek, do którego droga jest przed tobą otwarta. Świat nie potępił pięknych i możliwych pań, o których wspomniałam; ciebie wszyscy pochwalą; powiedzą, że jeśli upadłaś, to jedynie z nadmiaru cnoty.

– Ha, co za cnota! – wykrzyknęła piękna Saint-Yves. – Cóż za labirynt niegodziwców! Co za kraj! Jakże się uczyć poznawać ludzi! Jakiś ojciec de La Chaise i błazen delegat wtrącają mego narzeczonego do więzienia, rodzina mnie prześladuje, a ten, który w moim nieszczęściu chce mi podać rękę, czyni to jedynie po to, aby mnie zniesławić. Jeden jezuita zgubił dzielnego człowieka, drugi chce mnie zgubić; otaczają mnie same pułapki: bliska jest chwila, w której runę pod brzemieniem nieszczęść. Pozostaje mi albo zabić się, albo mówić z królem; rzucę mu się do nóg, gdy będzie szedł na mszę lub na widowisko.

– Nie dopuszczą cię do króla – rzekła przyjaciółka – a gdyby, na twoje nieszczęście, udało ci się przemówić, jego dostojność pan de Louvois i jego wielbność ojciec de La Chaise mogliby snadno zagrzebać cię na resztę dni w klasztorze.

Gdy ta pocziwa dama pomnażała jeszcze rozpacz nieszczęsnej panienci i topiła sztylety w jej sercu, przybywa posłaniec od pana de Saint-Pouange z listem i z parą pięknych kolczyków. Saint-Yves odepchnęła wszystko z płaczem; ale przyjaciółka zajęła się odbiorem.

Skoro posłaniec się oddalił, powiernica przeczytała list zapraszający obie damy na wieczerzę. Saint-Yves zakląła się, że nie pójdzie. Dewotka chciała jej przymierzyć kolczyki, ale na próżno; panienci opierała się cały dzień. Wreszcie, pamiętając jedynie o swoim ukochanym, wyczerpana, znużona, nie wiedząc, gdzie ją wiodą, dała się zaprowadzić na nieszczęsną kolację. Niepodobna było jej skłonić do włożenia kolczyków; powiernica wzięła je z sobą i włożyła je przyjaciółce, nim siadły do stołu. Saint-Yves była tak pomieszana, tak nieprzytomna, że pozwoliła z sobą robić wszystko, z czego wielbiciel wyciągnął pomyślne horoskopy. Pod koniec biesiady powiernica wysunęła się dyskretnie. Wówczas gospodarz pokazał dekret uwolnienia, patent na pokazną gratyfikację wraz z dowództwem kompanii i nie szczędził dalszych obietnic.



– Och – rzekła Saint-Yves – jakże bym panu była wdzięczna, gdybyś nie żądał takiej wdzięczności!

Wreszcie, po długim oporze, szlochach, krzykach, łzach, osłabiona walką, odurzona, wpółomdląca, musiała w końcu ulec. Nie pozostało jej nic, jak tylko przyrzec sobie w duchu, że będzie myślała jedynie o Prostaczku, podczas gdy okrutnik sycił się bez litości jej bezbronnością.

## XVIII

### SAINT-YVES OSWOBADZA SWEGO UKOCHANEGO I JANSENISTE

O świcie pędzi do Paryża, zbrojna w rozkaz ministra. Trudno odmalować, co się działo w jej sercu w czasie tej drogi. Wyobraźcie sobie cnotliwą i szlachetną duszę upokorzoną swym upadkiem, pełną miłości, szarpaną wyrzutami, obok rozkosznej pewności oswobodzenia kochanka! Zgryzoty, walki, triumf, wypełniały wszystkie jej myśli. Nie była to już owa prostoduszna dziewczyna z prowincji. Miłość i nieszczęście rozwinęły ją. Uczucie zrobiło w jej duszy tyleż postępu, ile go uczynił rozum w inteligencji jej nieszczęsnego kochanka. Dziewczęta uczą się łatwiej czuć, niż mężczyźni uczą się myśleć. Przygoda jej była bogatsza w naukę niż cztery lata klasztoru.

Ubrana była z nadzwyczajną prostotą. Ze wstrętem patrzyła na stroje i ozdoby, w których ukazała się była oczom swego okrutnego dobroczyńcy; zostawiła diamenty towarzysze, nie patrząc nawet na nie. Zmieszana i upojona, pełna uwielbienia dla Prostaczka, a wstrętu do siebie samej, przybywa wreszcie do bram straszliwego

...pałacu – nie pałacu, lecz wilczego dołu,  
Co niewinność i zbrodnie zamyka pospołu.<sup>16</sup>

Kiedy miała wysiąść z karocy, sił jej brakło; musiano jej pomóc; weszła z bijącym sercem, z wilgotnymi oczami, z zadumą na czole. Prowadzają do gubernatora; chce mówić, głos jej zamiera; pokazuje rozkaz jękając kilka słów. Gubernator polubił swego więźnia, rad był z jego wolności. Serce jego nie było tak zakamieniałe, jak bywa u niektórych godnych kluczników, jego kolegów, którzy, mając jedynie na oku haracz, związany ze strażą nad jeńcami, budując dochody na męce swych ofiar i żyjąc z cudzego nieszczęścia, czerpią ohydny radość z łez nieszczęśliwych.

Kazał sprowadzić więźnia do swego mieszkania. Kochankowie ujrzeni się: zemdleli oboje. Piękna Saint-Yves długo trwała bez ruchu i życia; Prostaczek ocknął się niebawem.

— To prawdopodobnie małżonka pańska – rzekł gubernator – nie wspomniałaś mi, że jesteś żonaty. Wiadomo mi, że jej szlachetnym staraniom zawdzięczasz wolność.

– Och, nie jestem godna być jego żoną – rzekła piękna Saint-Yves drżącym głosem i znów zemdląca. Skoro odzyskała zmysły, wręczyła mu, wciąż drżąca, dekret ułaskawienia oraz dowództwo kompanii. Prostaczek, zdziwiony, rozczulony, stąpił z jednego snu w drugi.

– Dlaczego mnie zamknęto? Jakim cudem zdołałaś mnie uwolnić? Gdzie są potwory, które mnie tu wtrąciły? Jesteś bóstwem, które zstąpiło z nieba na mój ratunek.

Piękna Saint-Yves spuszczała oczy, spoglądała na kochanka, czerwieniła się i znów odwracała oczy zwilżone łzami. Zwierzyła mu wszystko, co wiedziała i czego doświadczyła, z wyjątkiem tego, co byłaby rada ukryć na wieki sama przed sobą i co kto inny niż Prostaczek, bardziej obyty w świecie i świadom dworskich obyczajów, odgadłby z łatwością.

---

<sup>16</sup> Wolter, *Henriada*, IV, 456–457.

– Czy to podobna, żeby taka mizerna figura jak ów delegat mogła mnie pozbawić wolności? Ha! widzę, że z ludźmi jest jak z najpodlejszymi zwierzętami: każde zdolne jest szkodzić. Ale czy podobna, żeby zakonnik, jezuita, spowiednik królewski przyczynił się również do mej niedoli? Toć nie umiem się nawet domyślić pozoru, pod jakim się ten obwieś mnie uczeplił! Czy ze mnie zrobił jansenistę? A wreszcie jakim cudem ty pamiętałaś o mnie? Nie zasłużyłem na to, byłem wówczas jedynie dzikusiem. Jak to, ważyłaś się, bez rady, bez pomocy, puścić do Wersalu?! Zjawiłaś się i skruszono moje kajdany! Jest zatem w piękności i cnotcie jakiś niezwykłony czar, który obala żelazne wrzeciędzie i miękczy serca z brązu!

Na to słowo „cnota”, szloch wydarł się z piersi pięknej Saint-Yves. Nie wiedziała, jak bardzo była cnotliwą w zbrodni, którą sobie wyrzucała.

Kochanek jej ciągnął w te słowa:

– Aniele, któryś zerwał moje pęta, jeżeli miałaś (czego nie pojmuję dotąd) dość wpływu, żeby uzyskać dla mnie sprawiedliwość, uczyni, by ją oddano również i starcowi, który nauczył mnie myśleć, jak ty nauczyłaś mnie kochać. Niedola złączyła nas; miłuję go jak ojca; nie mogę żyć ani bez ciebie, ani bez niego.

– Co? Ja mam błagać jeszcze tego człowieka, który...

– Tak, chcę wszystko tobie zawdzięczać; i nie chcę nic nigdy zawdzięczać komu innemu niż tobie. Napisz do tego możnego człowieka, dopełni miary dobrodziejstw, dokończ, co rozpoczęłaś, dokończ cudu miłosierdzia.

Saint-Yves czuła, że obowiązkiem jej jest spełnić wszystko, czego wymaga ukochany: chciała pisać, ręka odmówiła jej posłuszeństwa. Trzy razy zaczynała list, trzy razy podarła; napisała wreszcie. Kochankowie opuścili mury więzienia, uściskawszy tkliwie starego męczennika łaski skutecznej. Szczęśliwa i zrozpaczona Saint-Yves wiedziała, gdzie mieszka jej brat; podążyła tam, kochanek jej zaś zajął mieszkanie w tym samym domu.

Ledwie się tam znaleźli, protektor pięknej Saint-Yves przesłał jej dekret uwalniający starego Gordona, a zarazem zażądał schadzki na dzień następny. Tak więc za każdym uczciwym i szlachetnym czynem pięknej Saint-Yves kryła się niesława i stanowiła jego cenę. Wstrętem przejmował ją ten obyczaj frymarczenia szczęściem i nieszczęściem ludzi. Oddała kochankowi dekret i odmówiła schadzki dobroczyńcy, którego sam widok przyprawiłby ją o śmierć ze wstydu i bólu. Prostaczek zdobył się na rozstanie z ukochaną, jedynie po to, aby uwolnić przyjaciela; pomknął doń. Dopełnił tego obowiązku, dumając nad kolejami świata i podziwiając energię i cnotę młodej dziewczyny, której dwóch nieszczęśliwców zawdzięczało więcej niż życie.

## XIX

### PROSTACZEK, PIĘKNA SAINT-YVES I ICH KREWNI SPOTYKAJĄ SIĘ

Szlachetna i czcigodna zdrajczyni spotkała się z księdzem de Saint-Yves, zacnym proboszczem z Góry i panną de Kerkabon. Wszyscy byli jednak zdziwieni, ale ich role i uczucia były różne. Ksiądz de Saint-Yves nie śmiał podnieść oczu w obecności siostry. Pocziwa Kerkabońcia wołała:

– Ujrzę tedy mojego złotego chłopca!

– Tak – mówiła uroczą Saint-Yves – ale to już nie ten sam człowiek: wzięcie jego, ton, myśli, dusza, wszystko uległo zmianie. Stał się równie godny szacunku, jak wprzód był naiwny i nieobyty. Będzie chlubą i pociechą rodziny. Czemuż i ja tego nie mogę rzec o sobie!

– I ty, dziecko, jesteś nie ta sama – rzekł przeor. – Cóż ci się przygodziło tutaj, co spowodowało w tobie taką odmianę?

Wśród tej rozmowy zjawia się Prostaczek wiodąc za rękę jansenistę. Scena stała się tym bardziej wzruszająca i dziwna. Zaczęło się od tkliwych uścisków stryja i ciotki. Ksiądz de Saint-Yves chylił się niemal do kolan Prostaczka, który już nie był Prostaczkiem. Kochankowie rozmawiali ze sobą oczami, wyrażając uczucia, które ich przenikały. Radość i wdzięczność błyszczały na czole młodzieńca; w tkliwych i nieco zamglonych oczach Saint-Yves odbijało się zakłopotanie. Wszyscy dziwili się, że szczęście jej zaprawne jest jak gdyby bólem. Stary Gordon pozyskał w krótkim czasie serca całej rodziny. Dzielił niedolę młodego więźnia: to był wystarczający tytuł do sympatii. Zawdzięczał wolność dwojgu kochankom, to jedno godziło go z miłością; dawna surowość pierzchła z jego serca; stał się innym człowiekiem podobnie jak Huron. Nim dano wieczerzę, każdy opowiedział swoje przygody. Dwaj księża oraz ciotka słuchali niby dzieci, które słyszą historię o duchach, i jak ludzie przejęci obrazem tyłu nieszczęść.

– Ach – mówił Gordon – może więcej niż pięciuset najzacniejszych ludzi jęczy w tej chwili w tych samych kajdanach, które skruszyła panna de Saint-Yves. Świat nie wie nic o ich męce. Dość jest rąk gotowych znęcać się nad nieszczęśliwymi, mało takich, które by chciały im ulżyć.

Uwaga ta, tak prawdziwa niestety, zdwoiła jego wdzięczność i rozczulenie; wszystko mnożyło triumf pięknej Saint-Yves: podziwiano wielkość i niezłomność jej duszy. Z tym podziwem łączył się odcień szacunku, jaki mimo woli budzi osoba, o której się przypuszcza, że ma wpływy na dworze. Tylko ksiądz de Saint-Yves wtrącał niekiedy:

– W jaki sposób ona mogła zdobyć tak rychło te wpływy?

Podano wieczerzę bardzo wcześnie. Wtem przybywa pocziwa przyjaciółka z Wersalu, która jeszcze nie wiedziała o niczym; przybyła w poszostnej karocy, a można się domyślić, czyją ów pojazd był własnością. Wchodzi z miną osoby bywalej u dworu i obarczonej wielkimi sprawami; pozdrawia niedbale zebranych i ciągnie piękną Saint-Yves na ubocze:

– Czemu dajesz tak czekać na siebie? Chodź ze mną: oto diamenty, których zapomniałaś.

Słowa te, mimo że wymówione szeptem, doszły uszu Prostaczka; ksiądz de Saint-Yves zmieszał się, krewniacy Prostaczka zdumieli się jak ludzie, którzy nigdy nie widywali takich wspaniałości.

Młody człowiek, którego umysł rozwinął się pod wpływem całorocznych rozmyślań, wydawał się wzburzony. Kochanka jego zauważyła to; śmiertelna bladeść rozlała się po jej pięknej twarzy, dreszcz wstrząsnął nią, ledwie mogła utrzymać się na nogach.

– Och, pani! – rzekła do niebezpiecznej przyjaciółki – zgubiłaś mnie! zadajesz mi śmierć!

Słowa te przeszły serce Prostaczka, ale nauczył się panować nad sobą; nie podniósł ich z obawy, by nie narazić ukochanej wobec brata, ale poblądł jak ona.

Saint-Yves, zrozpaczona, widząc zmianę na twarzy kochanka, ciągnie przybyłą do alkierzyka; rzuca w jej oczach na ziemię diamenty:

– Ha! – mówi – nie one mnie uwiodły, wiesz o tym; ale ten, który mi je dał, nie ujrzy mnie już nigdy.

Przyjaciółka zaczęła zbierać klejnoty, Saint-Yves zaś dodała:

– Niech je weźmie z powrotem albo niech je da tobie; idź stąd i nie każ mi się wstydzić samej siebie.

Wreszcie pośredniczka opuściła ją, nie mogąc pojąć wyrzutów, których była świadkiem.

Piękna Saint-Yves, ugodzona w samo serce, ledwie mogąc oddychać, musiała iść do łóżka; ale nie chcąc budzić niepokoju, nie zwierzyła nikomu swoich cierpień. Nadmieniła jedynie, że czuje się znudzona i że chce się położyć; wprzód jednak uspokoiła całe towarzystwo uprzejmymi słowy, kochanka zaś objęła spojrzeniem, które zażęgło płomień w jego sercu.

Wieczera, pozbawiona jej obecności, była smutna; ale był to szlachetny smutek, stanowiący źródło serdecznych i owocnych rozmów, o ileż wyższych od wesołości, za którą ludzie gonią, a która zwykle jest jeno dokuczliwym hałasem.

Gordon skreślił w krótkich słowach dzieje jansenizmu i molinizmu, wzajemnych prześladowań i zaciekłości. Prostaczek ganił te swary i ubolewał nad ludźmi, którzy, nie zadowolając się tyłoma starciami płynącymi ze sprzeczności interesów, tworzą sobie nowe niedole dla celów urojonych i dla mętnych niedorzeczności. Jeden opowiadał, drugi sądził; obecni słuchali ze wzruszeniem i otwierali oczy na blask nowego światła. Rozmowa zesłała na długość naszych niedoli, a krótkie trwanie życia. Ktoś podniósł, że każdy zawód ma jakieś przywary i niebezpieczeństwa i że od księcia do ostatniego żebraka wszyscy skarżą się na los. Skąd bierze się tylu ludzi, którzy za nędzną zapłatę stają się prześladowcami, zausznikami, katami innych? Z jakąż nieludzką obojętnością człowiek będący przy władzy podpisuje dekret niszczący rodzinę, a z jaką bardziej jeszcze barbarzyńską radością płatni siepacze wykonują wyrok!

– Znałem za młodu – mówił dobry Gordon – krewniaka marszałka de Marillac, który, prześladowany z przyczyny tego dostojnego nieszczęśnika, ukrywał się w Paryżu pod przybranym nazwiskiem. Był to starzec siedemdziesięciodwuletni; żona jego była mniej więcej w równym wieku. Mieli syna, wielkie ładaco, który w czternastym roku życia uciekł z domu; zostawszy żołnierzem i dezerterskim przeszedł wszystkie szczeble rozpusty i nędzy; wreszcie, przybrawszy nazwisko od jakiejś miejscowości, wstąpił do gwardii kardynała Richelieu (ksiądz ów bowiem, podobnie jak Mazarin, miał gwardię). Z czasem uzyskał w tej zgrai zauszników szarżę kapitana. Temu awanturnikowi polecono uwięzienie starca i jego małżonki; dopełnił zadania z całą srogością człowieka, który chce zaskarbić sobie łaski pańskie. Prowadząc nieszczęśników usłyszał, jak biadali nad niedolą prześladowającą ich od kołyski. Między największe nieszczęścia kładli zbłąkanie i utratę syna. Poznał ich, mimo to odprowadził ich do więzienia oświadczając, że służba jego eminencji idzie przed wszystkim. Eminencja nagrodził tę gotowość.

Widziałem szpiega w służbach ojca de La Chaise jak zdradził własnego brata, w nadziei tłustego beneficjum, którego nie otrzymał: umarł nie z wyrzutów, ale z rozpaczy, iż jezuita wyprowadził go w pole.

Zawód spowiednika, który pełniłem długo, dał mi poznać sekrety rodzin; nie widziałem wśród nich żadnej, która by nie pławiła się w goryczy, gdy na zewnątrz, okryta maską szczęścia, zdawała się kapać w weselu; a zawsze zauważyłem, iż wielkie zgryzoty są owocem naszej obłudnej chciwości.

– Co do mnie – rzekł Prostaczek – myślę, że dusza szlachetna, wdzięczna i czuła może być szczęśliwa; toteż mam nadzieję, że będę zażywał niezmaconego szczęścia z piękną i dzielną Saint-Yves, liczę bowiem na to – dodał zwracając się z przyjaznym uśmiechem do jej brata – że nie odrzucisz mnie, jak w zeszłym roku, a ja wezmę się do rzeczy w przystojniejszym sposobie.

Proboszcz zaczął się tłumaczyć ze swego dawniejszego postępowania oraz zapewnił go o wiecznej przyjaźni.

Stryj Kerkabon rzekł, że będzie to najpiękniejszy dzień jego życia. Dobra ciotka, lejąc łyzy radości, wołała:

– Mówiłam ci, mówiłam, że nie zrobisz zeń poddiakona! jeden sakrament taki dobry jak drugi; gdybyż Bóg dał mi dostąpić jego dostojęstwa! ale chcę ci zastąpić matkę.

Za czym wszyscy, na wypródkę, jęli się rozplęwać nad piękną Saint-Yves.

Rozkochany chłopiec zbyt był przejęty tym, co dlań uczyniła, zbyt ją kochał, aby przygoda z diamentami wywarła na nim szczególne wrażenie. Ale te słowa, które aż nadto dobrze słyszał: „Zadajesz mi śmierć”, przerażały go jeszcze i mąciły jego wesele, gdy zachwyty nad uroczą kochanką potęgowały jego miłość. Wszyscy zajmowali się tylko nią; rozmawiali jedynie o szczęściu, na jakie zasługuje para kochanków; układano plany wspólnego życia w Paryżu; projekty przyszłej fortuny, dostatków; oddawano się nadziejom, które błysk szczęścia rodzi tak łatwo. Ale w głębi Prostaczek czuł coś, co zmąciło te złudzenia. Odczytywał te przyrzeczenia podpisane „Saint-Pouange” i dekrety podpisane „Louvois”: malowano mu tych ludzi takimi, jakimi byli lub jaką mieli opinię. Każdy wyrażał się o ministrach i o ich urzędzie z ową bezceremonialną swobodą, uważaną we Francji za najszacowniejszą ze wszystkich swobód na ziemi.

– Gdybym był królem – mówił Prostaczek – oto jakiego wybrałbym ministra wojny. Musiałby to być człowiek najwyższego urodzenia, skoro wydaje rozkazy szlachcie. Żądałbym, aby sam był wojskowym, aby przeszedł wszystkie stopnie, aby był co najmniej generałem, godnym rangi marszałka Francji. Czyż nie jest konieczne, aby sam służył dla lepszego zapoznania się ze służbą? Czy oficerowie nie będą sto razy chętniej powolni żołnierzowi, który na równi z nimi złożył dowody męstwa, niż molowi gabinetowemu, który choćby był największym geniuszem, może co najwyżej odgadywać operacje wojenne? Nie miałbym nic przeciw temu, aby był człowiekiem szczodrym, choćby nawet podskarbi miał znaleźć się przez to w kłopotcie. Chciałbym, żeby pracował łatwo, a nawet żeby posiadał ową swobodę i wesołość, która bywa udziałem ludzi wyższych, jedna tyle sympatii i czyni wszelki obowiązek mniej uciążliwym.

Prostaczek pragnął, by minister miał to usposobienie, ponieważ zauważył, że wesołość nigdy nie idzie w parze z okrucieństwem.

Pan Louvois nie byłby rad z życzeń Prostaczka: zalety jego były innego rodzaju.

Ale gdy oni zabawiali się u stołu, choroba nieszczęsnej panienki przybierała groźny obrót; wystąpiła trawiąca gorączka. Biedactwo cierpiało bez skargi, bacząc, by nie zmącić wesela biesiadnikom.

Widząc, że Saint-Yves nie śpi, brat jej podszedł do wezglowia: stan siostry przeraził go. Wszyscy się zbiegli; kochanek zbliżył się do łóżka. Był on bez wątpienia najbardziej niespokojny

i wzruszony z obecnych, ale do wszystkich przyrodzonych darów nauczył się łączyć umiarkowanie; poczucie przystojności zajmowało u niego naczelne miejsce.

Sprowadzono pobliskiego lekarza. Był to jeden z owych medyków, którzy odprawiają chorych w pośpiechu, mylą ich chorobę z chorobą poprzedniego pacjenta i stosują ślełą rutynę w sztuce, której najdojrzały i najbardziej zrównoważony sąd nie jest mocen odjąć niepewności i niebezpieczeństw. Pogorszył chorobę skwapliwością, z jaką przepisał lekarstwo będące wówczas w modzie. Moda w medycynie! Mania ta była aż nazbyt powszechna w Paryżu.

Smutek pięknej Saint-Yves bardziej jeszcze od lekarza przyczyniał się do pogorszenia jej stanu. Dusza zabijała ciało. Trawiące ją myśli sączyły w jej żyły truciznę jadowitszą niż jad palącej gorączki.

## XX

### PIĘKNA SAINT-YVES UMIERA I CO Z TEGO WYNIKŁO

Wezwano innego lekarza: ten, miast wspomagać naturę i pozwolić jej działać w pełnym życia organizmie, myślał jedynie o tym, aby robić na złość koledze. W dwa dni choroba przybrała obrót śmiertelny. Cierpienie rzuciło się z równą siłą na mózg, który uważają za siedzibę rozumu, co na serce, które jest podobno siedzibą uczuć.

– Jaki niewytłumaczony mechanizm poddał nasze narządy władzy uczuć i myśli? W jaki sposób jedna bolesna myśl może zakłócić bieg krwi? Jak nawzajem krew może przez swoje zaburzenia oddziaływać na sferę pojęć? Co za fluid nieznan, ale niewątpliwie istniejący, chybszy i żywszy niż światło, bieży w mgnieniu oka we wszystkie kanały życia, rodzi wrażenia, pamięć, smutek lub radość, rozum lub szaleństwo, przywodzi na myśl ze zgrozą to, o czym chciałoby się zapomnieć, i ze zwierzęcia obdarzonego myślą czyni albo przedmiot podziwu, albo współczucia i łez?

Tak mówił dobry Gordon; a refleksja ta, tak naturalna, mimo że tak rzadko następcząca się myślom, nie zmniejszała w niczym jego rozczulenia, nie należał bowiem do owej smutnej kategorii filozofów, którzy siłą się na bezczułość. Wzruszony był losem młodej dziewczyny, jak ojciec, który patrzy na powolną śmierć ukochanego dziecka. Ksiądz de Saint-Yves był w rozpacz; przeor i jego siostra wylewali strumienie łez. Ale kto mógłby odmalować stan Prostaczka? Żaden język nie posiada wyrażen na oddanie podobnego bezmiaru rozpacz; słowa są zbyt słabe.

Ciotka, sama wpółżywa, trzymała głowę umierającej w wątlých dłoniach; brat jej klęczał przy łóżku; kochanek tulił drogą rękę, zwilżając ją łzami i wydając głośnie łkania; nazywał ją swoim aniołem, swoją nadzieją, życiem, połową samego siebie, kochanką, żoną. Na to słowo: „żona” umierająca westchnęła, spojrzała nań z nieopisaną czułością i wydała krzyk zgrozy; następnie w jednej z owych chwil wychnienia, w których dusza odzyskuje swą jasność i siłę, krzyknęła:

– Ja twoją żoną! Ach, drogi kochanku, to imię, to szczęście, ta nagroda to już nie dla mnie; umieram i zasłużyłam na to. O bóstwo mego serca! O ty, którego poświęciłam piekielnym biesom, stało się, jestem ukarana, żyj szczęśliwy.

Nikt nie zrozumiał tych słów nabrzmiałych uczuciem i grozą, ale wypełniły one serca przestachem i roztkliwieniem. Nieszczęsna dziewczyna zdobyła się na odwagę wyjaśnienia ich. Każde słowo przyprawiło obecnych o dreszcz zdumienia, bólu i współczucia. Wszyscy uczyli nienawiść do możnego człowieka, który zgodził się naprawić straszną niesprawiedliwość jedynie za cenę zbrodni i zniewolił do współnictwa najbardziej godną czci niewinność.

– Jak to, ty winną? – wykrzyknął kochanek. – Nie, nigdy: zbrodnia może się spełnić jedynie w sercu, twoje zaś należało do cnoty i do mnie.

Tkliwość jego zdawała się wracać piękną Saint-Yves do życia. Czowała, że w serce jej wstępuje pociecha; dziwiła się, że Prostaczek kocha ją jeszcze. Stary Gordon byłby ją potępił wówczas, gdy był jedynie jansenistą, ale obecnie, stawszy się mędrcom, poważał ją i płakał.



Wśród tylu łez i obaw, gdy wszystkie serca przejęte były niebezpieczeństwem tej drogiej wszystkim panienki i gdy wszyscy poddawali się wzruszeniom, oznajmiono gońca ze dworu. Goniec! od kogo? z czym? Przybywał od jego wielbności spowiednika królewskiego do przeora z Góry. Pisał nie sam ojciec de La Chaise, ale brat Vadbled, jego pokojowiec, człowiek podówczas bardzo wpływowy, który przekazywał arcybiskupom wolę jego wielbności, udzielał audiencji, przyrzucał beneficja, wyrabiał niekiedy dekrety uwięzienia. Donosił przeorowi z Góry, że jego wielbność wie o jego bratanku; że uwięzienie było tylko omyłką; tego rodzaju drobne przykrości zdarzają się często i nie trzeba przywiązywać do nich wagi; zezwała wreszcie, aby przeor przedstawił mu bratanka nazajutrz, aby również przyprowadził z sobą starego Gordona; brat Vadbled wprowadzi ich do jego wielbności i do pana de Louvois, który przyjmie ich na chwilę w przedpokoj.

Dodawał, że opowiedziano królowi dzieje Prostaczka i jego utarczkę z Anglikami, że z pewnością król raczy go zauważyć przechodząc przez galerię, a może nawet skinie mu głową. List kończył się pochlebną nadzieją, że wszystkie damy na dworze zechcą przyjąć rano Prostaczka w swojej gotowalni, że ta i owa powie mu: „Dzień dobry, panie Prostaczku”, i że z pewnością będzie mowa o nim na wieczery u króla. List podpisany był: „Wasz oddany brat Vadbled, jezuita”.

Skoro przeor odczytał głośno list, bratanek jego, wściekły, ale panując przez chwilę nad swym gniewem, nic nie rzekł do posłańca; zwróciwszy się jeno ku swemu towarzyszowi niedoli, spytał, jak mu się zda to pisanie. Gordon odpowiedział:

– To się nazywa traktować ludzi jak małpy! Bije się ich i każe się im tańczyć.

Prostaczek, u którego w gwałtownych wzruszeniach pierwotny charakter brał górę, podarł list na kawałki i rzucił je w nos posłańcowi:

– Oto moja odpowiedź.

Stryj, przerażony, miał uczucie, że spada nań piorun i dwadzieścia tajnych dekretów. Co prędzej skreślił list, aby usprawiedliwić wedle możliwości to, co brał za wyskok młodzieńczego uniesienia, a co było wybuchem wielkiej duszy.

Ale boleśniejsze obowiązki zaprzętnęły wszystkich. Piękna i szlachetna Saint-Yves czuła już nadchodzący koniec; była spokojna, ale owym okropnym spokojem osoby, która nie ma już sił do walki.

– O, mój drogi kochanku – rzekła gasnącym głosem – śmierć karze mnie za mą słabość; ale ginę z tą pociechą, że widziałam cię wolnym. Ubóstwiałam cię wówczas, kiedy cię zdradziłam, i ubóstwiam w chwili, gdy żegnam cię na wieki.

Nie stroiła się w czczą nieugiętość; nie знаła owej nędznej próżności mającej na celu to, aby parę kumoszek rzekło: „Umarła mężnie”. Któż zdoła w dwudziestym roku stracić kochankę, życie i to, co zwą „honorem”, bez żalu i rozdarcia? Czuła całą grozę swego stanu i dawała wyraz temu poczuciu w gasnących słowach i spojrzeniach, które przemawiają z taką mocą. Płakała wreszcie jak wszyscy, w chwilach gdy miała siłę płakać.

Niech inni wychwalają pompatyczny zgon tych, którzy poddają się bezwładnie dziełu zniszczenia; to właściwość wszystkich zwierząt. Umieramy jak one, obojętnie, jedynie wówczas, gdy wiek lub choroba zrówna nas z nimi, stępując nasze organy. Kto bądź ponosi wielką stratę, odczuwa wielką żalność; jeśli ją dławi, to znaczy, że próżność towarzyszy mu do samego progu śmierci.

Skoro nieszczęsna chwila nadeszła, wszyscy obecni dali folgę łzom i krzykom. Prostaczek stracił zmysły. Silne dusze, kiedy owładnie nimi tkliwość, doznają o wiele gwałtowniejszych uczuć niż inni. Dobry Gordon znał go na tyle, iż obawiał się, aby odzyskawszy zmysły nie

targnął się na swoje życie. Usunięto wszelką broń; nieszczęśliwy młodzian spostrzegł to; rzekł do obecnych, bez też, jęku, bez wzruszenia:

– Czy myślicie, że jest kto na ziemi, kto miałby prawo i moc wstrzymać mnie?

Gordon nie silił się go częstować mdłymi racjami, mającymi jakoby dowieść, że człowiek nie ma prawa użyć swej wolności dla położenia końca istnieniu, kiedy się staje zbyt wielką męczarnią; że nie powinno się opuszczać domu, gdy już nie sposób w nim mieszkać; że człowiek jest na ziemi jak żołnierz na posterunku: jak gdyby Najwyższej Istocie zależało coś na tym, czy skupienie kilku cząsteczek materii znajdzie się w tym miejscu czy w innym. Bezsilne argumenty, którym niezłomna i świadoma siebie rozpacz nie raczy dawać ucha i na które Katon odpowiedział jeno ciosem sztyletu. Głuche i straszliwe milczenie Prostaczka, jego posępny wzrok, trzęsące się wargi, drżenie całego ciała napełniały duszę obecnych owym połączeniem współczucia i zgrozy, które poraża władze duszy, kładzie tamę wszystkim dyskursom i wyraża się jedynie bezładnymi słowy. Nadbiegła gospodyni domu wraz z rodziną; wszyscy drżeli, patrząc na rozpacz młodzieńca; roztoczono nad nim ścisły dozór, śledzono wszystkie ruchy. Już lodowate ciało pięknej Saint-Yves przeniesiono do sieni, z dala od oczu kochanka, a on zdawał się go szukać jeszcze, mimo że niezdolny nic widzieć.

Podczas tych śmiertelnych ceremonii, w chwili gdy ciało spoczywa wystawione w bramie, gdy księża klepią przy nim niedbale modlitwy, przechodnie zaś jedni bezmyślnie rzucają na trumnę kilka kropel święconej wody, inni obojętnie mijają ją śpiesząc swoją drogą, gdy krewni płaczą, a kochanek bliski jest samobójstwa, Saint-Pouange przybywa wraz z ową przyjaciółką z Wersalu.

Jego przelotna zachcianka, zaspokojona tylko raz jeden, przerodziła się w miłość. Wzgarda, z jaką spotkała się jego hojność, podrażniła go. Ojcu de La Chaise nigdy nie przyszłoby na myśl przybyć do tego domu; ale Saint-Pouange, mając wciąż przed oczyma obraz pięknej Saint-Yves, płonął chęcią ugaszenia żądzy, która, ledwie raz nasycona, zostawiła w jego sercu żądło pragnień, nie zawahał się sam szukać tej, której może nie zechciałby przyjąć ani trzy razy, gdyby przyszła sama. Wysiada z karocy; pierwszym przedmiotem, który mu się nastęrcza, jest trumna; odwraca oczy z naturalną odrazą człowieka tonącego w rozkoszach, przeświadczonego, że powinno mu się oszczędzić wszelkiego widowiska przywodzącego na pamięć ludzką niedolę. Chce wsiadać z powrotem. Dama z Wersalu pyta przez ciekawość, kogo grzebia; słyszy nazwisko panny de Saint-Yves. Blednie, wydaje straszliwy krzyk; Saint-Pouange odwraca się, zdumienie i ból napełniają jego duszę. Dobry Gordon stał opodal z oczami pełnymi łez. Przerzywa smutne modły, aby opowiedzieć dworakowi katastrofę. Przemawiał z siłą, jaką daje ból i cnota. Saint-Pouange nie był złym człowiekiem; wir spraw i uciech oszołomił jego duszę, która żyła jakby w letargu. Nie doszedł jeszcze wieku, w którym serce ministrów staje się z kamienia; słuchał Gordona ze spuszczonej oczami i ocierał raz po raz łzy, które w nim samym budziły zdziwienie: łzy żalu i wyrzutów.

– Pragnę koniecznie widzieć – rzekł – niezwykłego człowieka, o którym mi wspomniałeś; wzrusza mnie on prawie tyle co niewinna ofiara, której śmierci stałem się przyczyną.

Gordon zawiódł go do komnaty, gdzie przeor, panna de Kerkabon, ksiądz de Saint-Yves i paru sąsiadów cucilo omdlałego młodzieńca.

– Jam winien twego nieszczęścia – rzekł podminister – obrócę życie na to, aby je naprawić.

Pierwszą myślą, która przeszła przez głowę Prostaczka, było zabić go, a później siebie. Myśl bardzo godziwa: ale był bez broni i pod ścisłym dozorem. Saint-Pouange nie dał się zrazić odmową, której towarzyszyły zasłużone wyrazy wzgardy, wyrzutów i wstrętu. Czas łagodzi wszystko. Pan de Louvois zdołał w końcu zrobić z Prostaczka znakomitego oficera, który

zasłynął pod innym mianem w Paryżu i w armii, a był równocześnie nieustraszonym żołnierzem i filozofem.

Nigdy nie zdołał wspomnieć swojej przygody bez jęku, mimo to znajdował pociechę w tym, aby o niej mówić. Czczył pamięć tkliwej Saint-Yves do ostatniego tchnienia. Ksiądz de Saint-Yves i przeor otrzymali każdy po dobrym beneficjum; pocziwa Kerkabońcia bardziej była rada oglądać bratanka w splendorach wojskowych niż w komeżce poddiakona. Dewotka z Wersalu zachowała diamentowe kolczyki i jeszcze otrzymała jakiś piękny podarek. Ojciec Do Wszystkiego dostał parę skrzyń z czekoladą, kawą, kandyzowanym cukrem, cytrynami, wraz z „medytacjami” wielebnego ojca Croiset i *Kwiatem świętości*<sup>17</sup> oprawnymi w safian. Zacny Gordon żył z Prostaczkiem do końca w serdecznej przyjaźni; otrzymał również beneficjum i zapomniał na zawsze o „ł a s c e s k u t e c z n e j ” i o „zbieżnym współdziałaniu.” Przyjął za dewizę powiedzenie: „Nieszczęście zda się na coś”. Iluż pocziwych ludzi mogłoby powiedzieć: „Nieszczęście nie zda się na nic!”

---

<sup>17</sup> *Flor de las vidas de los santos* — zbiór legend napisany przez jednego i pierwszych jezuitów hiszpańskich, Pedro Ribadeneira (1527–1611).